wicka
ARDZKIE
I GU

ПЕРЕПЛЕТЧИКЪ
С. ГРЖАЛКОВСКІЙ
КІЕВЪ

NA NORMANDZKIM BRZEGU

Leonard Broki
Kijów

36

TEJŻE AUTORKI WYSZŁY:

	Rb.	k.
Poezye. Serya I. II. III. IV. po	1	50
w ozdobnej oprawie . . .	2	40
Poezye w nowym układzie:		
I. Fragmenty	1	—
w ozdobnej oprawie . .	1	40
II. Helenica	1	—
w ozdobnej oprawie . . .	1	40
III. Pieśni i piosenki	1	—
w ozdobnej oprawie . . .	1	40
IV. Obrazki	1	—
w oprawie	1	40
V. Z mojej księgi	1	—
w oprawie	1	40
Italia. Z portretem autorki	1	—
w oprawie . . .	1	40
Dym. — Nasza szkapa. — Głupi Franek. Z ilustracyami S. Sawiczewskiego . . .	1	—
w oprawie	1	40
Wybór poezyi. Wyd II.	1	-
w oprawie	1	40
Ludzie i rzeczy. Szkice i obrazki	2	—
Moi znajomi. Nowele. Wyd. II.	1	50
Na drodze. Nowele i obrazki	1	50
Nowele. Panna Florentyna	1	50
Trzy studya. O komedyi bohaterskiej Edm. Rostanda. — Juliusz II Jul. Klaczki. — Krzyżacy Henryka Sienkiewicza . . .	1	35

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

MARYA KONOPNICKA

NA NORMANDZKIM BRZEGU

Leonard Broki
650
Kijów

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1904

Wojewódzka Biblioteka Publiczna * w Suwałkach *
Czytelnia
14912
821.162.1-3

I

„MADAME LA VIERGE“

Leonard Brokl
Kijów

Dom rybaka, to dalszy ciąg morza. Przez ścianę szum, w powietrzu sól, za oknem bezmiar modry. Zdaje się, że dość jest drzwi otworzyć, aby przez nie weszło morze i mieszkało z nami.

W sieniach pęki lin, sznurów, podrywek, koszyków; w izbach u sufitów okręciki wiszą, nad kominem muszle i gwiaździce, w podwórku wywrócone do góry dnem czółno, połamane kotwice, więcierze, zapasowe wiosła...

Wchodzisz i myślisz — dom na ziemi stoi.

A nieprawda!

I on, i byt pokoleń całych, od prapradziadów, co wznieśli te zręby, aż do gospodarzy naszych, wszystko to stoi morzem i na morzu. Życie ludzkie zarzuciło tu

kotwicę tak samo, jak ją nieco dalej zarzucają barki i łodzie, i tak jak one kołysze się z falą i na fali. Jego radości i nadzieje, jego klęski i żałoby kołyszą się z niem razem. Coś z płynności żywiołu weszło tu w dusze ludzkie. Każdy przypływ wypełnia je otuchą i wzmaga; każdy odpływ zabiera coś z nich i unosi z sobą. Oczy tak samo osychają z łez jak nadbrzeżne piaski, a żagiel wzdęty świeżym tchem morza, pędzi nietylko barkę, ale i krew w żyłach. Palce starej normandki, która w rogu podwórka sieć wiąże, plączą się i mdleją kiedy »les sablons« zażółcą się w słońcu; lecz kiedy biegnąca grzbietem morza fala zahuczy, zasyczy u brzegu, wielka iglica sieciarki błyskawicznie miga, a węzły sieci aż warczą, z taką je mocą dociskają stare, stare palce.

Przypływ i odpływ reguluje tu i zarządza wszelakie sprawy żywota.

W izbie, na głównej ścianie, wisi kalendarz księżycowy, pokazujący na rok

cały godziny i minuty »de la haute marais«. Innego tu i nie trzeba nawet.

Kiedy zalśnią, zabieleją żagle ku przystani wzdęte, a cała flota barek rybaczych z połowu powraca, każdy wie, że to niedziela i że to jest święto. Zaraz więc zaczynają dzwony bić rozgłośnie, jasno, wesoło, a mały duży do kościoła idzie.

Idzie albo do nowego kościoła, albo do starego. Nowy stoi na wzgórzu i nazywa się kościołem »Zwycięstwa«, a to najniepotrzebniej w świecie. Zbudowany bowiem został na pamiątkę wyzwolenia z okrutnego strachu, jaki opanował osadę na wieść, że Niemcy idą.

Jakoż Niemcy istotnie szli, następujący na karki Francuzów ciężką i twardą, bo zwycięzką nogą. Już poprzenoszono na spód barek dobytek, co cenniejszy, w węzełkach i skrzynkach, już pan Mer opasał się trójkolorową wstęgą, by godnie kapitulować, a pani Merowa, przybrana w jedwabną suknię już trzymała chusteczkę

u oczu, które według programu zapłakanemi być miały, kiedy nagle Niemcy w Honfleur stanęli i nie poszli dalej tym traktem, zaskoczeni w swych tryumfach zawieszeniem broni. Odjęła tedy pani Merowa chusteczkę od oczu, suknia jedwabna poszła na kołek, a pan Mer, jak stał opasany wstęgą, tak w pełni swej urzędowości uczynił votum, że nad osadą, na najwidoczniejszem miejscu, stanie kościół pod wezwaniem »Notre Dame des Victoire«. I stanął. Wszakże starzy rybacy i stare rybaczki tłumniej i ochotniej się cisną do dawnego drewnianego kościołka, w którego absydzie, w sztywnej, złoconej szacie i staromodnym normandzkim kornecie na głowie, stoi od wieków z litościwą, poczerniałą twarzą »Madame la Vierge Marie«.

»Madame la Vierge« zna wszystkie dolegliwości, wszystkie niepokoje i smutki swojej rybaczej osady. Wie gdzie w domostwie choroba, gdzie grzech, gdzie

waśń, gdzie bieda. Wie, które ręce nadmiar już zmęczone, które oczy wypłakane, zgasłe. Wie ile dzieci pod dachem się chowa i jakiem na nie wołają imieniem. Wie kiedy wróci młody marynarz, ochotnik, za którym patrzy ku brzegom Szkocyi dziewczyna. »Madame la Vierge« wie i to nawet, gdzie na dnie morza leży jedyny syn wdowy...

Ona zna wszystkich tych, za których »Dzwon utopionych« co wieczór głucho bije, i tych, których imiona kołyszą się za wiatrem, wypisane na skrzypiących deskach, za cmentarnym murem, gdzie »krzyż zaginionych« stoi.

Więc kiedy się tak w tym dawnym ubogim kościółku lud dokoła Niej ściśnie, każdy ma Ją o coś prosić, pytać, każdy ma Jej coś do powiedzenia. A Ona, z pod swego staroświeckiego korneta patrzy, trochę smutna, a trochę surowa, i słucha, słucha...

Więc jedni mówią do niej półgłośnym,

żarliwym szeptem, a insi westchnieniem dziękczynnem, a jeszcze inni spojrzeniem szeroko otwartych, osłupiałych źrenic.

Ale raz, po mszy, stary jeden rybak wyszedł z tłumu, przeżegnał się i zaczął włazić na ołtarz.

Chwyci go zakrystyan za kubrak:

— Gdzie? Po co?

A ów:

— Nic, nic! Ja tylko chcę coś powiedzieć »à Madame la Vierge«.

Tak zakrystyan z pasyą:

— Schodź mi zaraz, stary głupcze! Niewolno!

A rybak:

— Co to niewolno? Ja mam Jej coś ważnego powiedzieć, coś pilnego! Ja muszę Jej coś powiedzieć!

A tuż w tłumie, biorący stronę rybaka pomruk: »Oo!... Ooo!...

Oparło się o księdza. Wyszedł ksiądz:

— Bój się Boga, człowieku, co wyrabiasz? Przecież ci na ołtarz włazić nie dam!

A ów:

— Kiedy ja zaraz, Ojcze wielebny, zlezę! Tylko coś powiem Najświętszej, i zlezę!

Więc znów ksiądz:

— Zwaryowałeś, czy co? Zastanów-że się człowieku, że to jest wyobrażenie tylko, figura, która, choćbyś nie wiem co gadał, to cię nie usłyszy!

Tak rybak z oburzeniem:

— Co? Najświętsza mnie nie usłyszy?... Mnie?... Najświętsza?... Mój Jegomość!...

I machnął wymownie ręką.

A w tłumie całkiem już groźne:

— Ooo!... Oooo!...

Widzi ksiądz, że nie z tej beczki trzeba tak rzecze:

— No, więc dobrze! Mnie powiedz, dobry człowieku, co masz do powiedzenia, a ja Jej powtórzę.

A rybak:

— A, nie! Nie mogę! To jest ważna rzecz! To ja Jej muszę sam...

Co było robić?

Kazał ksiądz przystawić do ołtarza drabinkę, rybak się na nią wygramolił, przyłożył zwiędłe wargi do ucha Najświętszej, i długą chwilę szeptał, trzęsąc głową siwą.

Zaczem westchnął z głębia, ucałował brzeg sztywnej pozłocistej szaty, grzmotnął się w piersi, przeżegnał się, i zlazł z drabinki, z rozjaśnioną błogiem światłem twarzą.

II

W OSADZIE

Od sobotniego przypływu morza wieczorem lub nocą, do poniedzielnego przypływu nocą, albo rankiem, w osadzie zostają kobiety same.

Nie sprowadza to jednak wcale bezkrólewia. Sprawy domu, sprawy rodziny, a nadewszystko sprawy pieniężne, są i bez tego zawsze w rękach kobiet. Rybaczka normandzka jest energiczna, zabiegła, roztropna i na grosz chciwa. Dzieci kocha więcej niż męża, pieniądz wszakże u wielu idzie przed wszelkiem kochaniem. Dość spojrzeć na wązkie, zacięte usta normandki, aby poznać, że jej grosz w ręku piszczy. W domu obywa się z dziećmi byle czem, kartoflami, fasolą z ogródka, a co mąż zarobi tem oczy przez niedzielę

cieszy, a w poniedziałek zanosi do kasy i na rentę składa.

Renta, zbieranie renty, jest największą namiętnością normandki. Poświęca jej ona większą połowę życia, oddanego wszelkiego rodzaju prywacyom i pracy — nieraz ciężkiej.

Wartość mężczyzny, a i wartość małżeńskiego szczęścia, oblicza się oczywiście na zyski z połowu. Nie mówi się tutaj: »mąż mój jest dobry człowiek«, ani: »mąż mnie kocha«, ale się mówi: »Mąż mój zarabia, mąż mój tyle a tyle przynosi«. A jeśli przynosi dużo, wszystkie sąsiadki zazdroszczą takiego męża, jako dobrze rentującego kapitału.

»Zarabia« — to jest nietylko największą pochwałą, ale zasadą miłości i miarą szacunku.

Wie o tem mąż każdy.

Przynosi mało, to się ledwo, biedaczysko, wlecze z przystani do domu, bo czuje zawczasu, że go tam nic przyjemnego nie

czeka; przynosi dużo, to mu się droga pod podeszwą pali, i na pewniaka »poivradę« węszy.

Jedno wszakże czeka zarówno ich obu: widok żony przybranej niemal że zalotnie, czasem w wielkiej paradzie długich kolczykówi broszki spinającej chusteczkę na czarnym staniku, czasem z ognistym pęczkiem geranium przy gorsie. Im mniej wszakże przynosi mąż z sobą, tem chciwiej wpatruje się w te uroki, wiedząc dobrze, jak są krótkotrwałe. Jakoż gdy się żona nie doliczy w mieszku spodziewanej sumy, kolczyki i broszka jeszcze przed śniadaniem do puzderka idą, geranium wstawia się w wodę, a po śniadaniu, przy którem o »poivradzie« ani słychu, powiada żona, że ją głowa boli, albo do sąsiadki idzie, albo się do robienia porządków zabiera, przyczem zalotny fartuszek zastąpiony bywa dużą, grubą ścierką.

O popołudniowej niedzielnej czekoladzie nawet mowy nie ma; a gdy niefortunny

małżonek o cydr się dopomni — choć taka odwaga w podobnych razach jest rzadka, — wtedy go dostaje »z tej drugiej«, to znaczy z tej beczki, gdzie się wytłoczyny nalewają wodą, po spłynięciu pierwszego jabłecznego soku.

I co ma biedak wobec tego robić? Oczywiście to, co właściwie robi: popatrzy, popatrzy, trochę smutnie, a trochę bezmyślnie, zaczem zapala fajeczkę na krótkim cybuszku, naciska na uszy bawełnianą czapkę i onieśmielony chyłkiem wynosi się »na schodki«, gdzie nieraz i do wieczora, jak winowajca przesiedzi zgarbiony, ze spuszczoną głową, nie wiedząc ażali mu los oszczędzi zawodów sroższych jeszcze.

Jakże innym jest los męża, który »zarabia«. Żona mu cały dzień po domu kolczykami dzwoni i nietylko nic z uroków swoich nie traci, ale jeszcze raz wraz do lusterka zabiega, przymuskując włosy. »Poivrada« wykręca język wprost na drugą

stronę, a cydr »z tej pierwszej« złoci się, rumieni i musuje w szklankach.

Szczęśliwiec, bynajmniej nie na schodkach pali fajkę, ale w izbie, rozwalony za stołem, z nogami na ławie, przyczem mówi dużo, głośno, śmiało, pluje prosto przed siebie, — jest panem. Co to panem! On jest uosobionym dochodem, on jest rentą samą!

Tak przychodzi słodka godzina niedzielnej czekolady, która rozbebłana z wodą i rozmiękłym w niej chlebem, przedstawia jakąś szarą, gęstą, dla oka niewtajemniczonych nieprzyjemną masę, po której wszakże dzieci oblizują się aż do wieczora na obiedwie strony. Zaczem mąż przywdziewa granatową, dzianą z wełny kurtę, takąż czapkę, i wypiękniony, wymuskany aż do kokieteryi, przechadza się z strojną żoną pod rękę po ulicach osady, wesoły, tryumfujący, szczęśliwy, ku większemu pohańbieniu mężów »na schodkach« palących. Że oboje mówią o rencie, tego i do-

dawać nie trzeba. Tak przychodzi wieczór, dom cały wcześnie się ucisza, a dzieci idą spać na strych.

Ale na giełdzie małżeńskiego szczęścia, wyższym jeszcze walorem niźli mąż, który »zarabia«, jest »mąż asekurowany«.

Rybaczka normandzka nie powierza morzu »swego człowieka« bez ścisłej gwarancyi. Asekuruje go ona prawie że w dzień ślubu, prawie że w chwili, kiedy się on wraz ze swoją barką sieciami własnością jej staje, i poza całem przywiązaniem patrzy na niego, jak na przedmiot, który nietylko za życia, ale i po śmierci korzyść jej jeszcze przyniesie.

— *Une fois mon mari mort, — je touche mes cinq cent francs* — mówi nasza gospodyni z jasnym, pogodnym uśmiechem, jak gdyby mówiła o jakiejś radosnej chwili swego życia.

Nie znaczy to wcale, żeby »Mère Toutaint« nie kochała »Père Toutaint«. Bynajmniej! Kocha go bardzo. Zawsze jednak

błogo pomyśleć, że i śmierć nawet sama zysk jej jakowyś przyniesie.

Prócz żon wszakże i wdów po rybakach, są jeszcze w osadzie matki młodych marynarzy, których morze poniosło daleko.

I te są rentjerkami także.

Jest zwyczaj, że syn marynarz, leguje matce urzędownie część pobieranej na statku zapłaty. Co miesiąc tedy ciągnie do biura marynarki procesya czarno ubranych kobiet, po ten grosz synowski. Czarno, — to nie znaczy żałobnie; to znaczy — paradnie. Co która z kobiet ma najlepszego, to wyciąga ze skrzyni i na siebie kładzie. Bo w tem jest właśnie cała macierzyńska duma, żeby pokazać, jako nie żadna nędzarka przychodzi po konieczną pomoc, ale że przychodzi matka, po daninę serca i pamięci syna.

Kołyszą się tedy kolczyki, błyszczą wielkie okrągłe brosze, szeleszczą jedwabne fartuchy, a twarze jaśnieją dumnem ja-

Wojewódzka Biblioteka Publiczna * w Suwałkach * Czytelnia 14912

kiemś szczęściem. Jest to pochód tryumfalny matek. Wychuchały, wychowały, wykarmiły, a teraz — ot pociecha! Jest dwóch synów w rodzie, to jeden marynarz. Ten pierworodny, rzecz prosta. Drugi zostaje rybakiem. Dopiero trzeci chwyta się rzemiosła lub na księdza idzie. A tak morze zabiera lwią część potomstwa, a ziemia — ledwo trzeciznę. Ale są matki, które i po dwóch synach biorą daninę z dalekiego morza. Normandyi bowiem — przepowiadana szerszej francuzkiej ojczyźnie — depopulacya nie zdaje się grozić. W tym jędrnym klimacie, i w utęsknionych do siebie małżeństwach rodzi się dzieci dosyć, szczególniej zaś chłopców.

Nasza pani Toutaint jest jedyną siostrą siedmiu braci, śpiących już po większej części na dnie mórz dalekich, a jednocześnie matka siedmiu synów, z których pierworodny jest też marynarzem.

I ona tedy do procesyi należy, jako że »touche cinq francs« od swojego Jacques'a.

Idzie prosta, szczupła, wyniosła. Ma coś rzymskiego w sobie. Jej profil możnaby na medalach bić, z tą czystą, antyczną linią wązkiego czoła, lekko zgarbionego nosa, cienkich warg i silnie zaakcentowanej brody. Czarny odświętny strój podnosi jeszcze wyrazistość jej śniadego typu. Wprost z biura marynarki zawróci do kasy.

Renta rośnie.

III

NA WĘGORKI

Na węgorki! Idziemy wszyscy na węgorki! My dwie, gospodyni, i najmłodsza odrośl rodu — »Jean«. Na nas czworo są wprawdzie tylko trzy podrywki, ale gospodyni powiada, że i tak jedna, ta nasza, okaże się zbyteczna.

Z węgorkami sprawa niełatwa. Nie to, żeby ich nie było. Owszem, są. Po świeżym odpływie, cała dolna część rozwidlonej w tem miejscu ławicy piasków, pocentkowana jest na czarno, i podziurawiona, jak sito, od wkręcających się w mokry żwir węgorków. Ale nabierz je w podrywkę, to ci wierzchem z niej śmigają, i tyleś je widział.

Węgorka trzeba łowić niemal w lot, jak ptaka. Tu jest, tu go niema. Wije

się, podrzuca sobą, skręca się, rozkręca, podbija, w twarz ci prawie skacze, i naraz — przepada. Już go trzymasz, jeszcze nie twój. Z ręki ci się wyśliźnie, cóż z siatki! Tylko wielki przypływ, »la grande marais«, rzuca węgorka daleko na piaski. »La petite marais«, ledwie go do wideł donosi. Tam go więc chwytać trzeba w pierwszym momencie odpływu, kiedy żwiry są jeszcze rzadkie, ciekłe, rozrobione morzem. Biegiem do niego trzeba, w chodakach bosonóż obutych, w krótkiej, rybacką modą podgiętej odzieży, nie pytając gdzie i którędy, przeskakując małe zalewy, trzymając się na umykających pod nogą piaskach, rzucając podrywką bacznie, niepochybnie, silnie, łowiąc go naraz w wodzie, w powietrzu i w żwirach, w pierwszym jego oszołomieniu, w pierwszych zaraz drgnieniach, tak bystrze, tak zwinnie, tak chytrze, tak nagle, jak on sam.

Połów na węgorki odbywa się zawsze gromadnie, bo tu chwila płaci. Więc

i u nas całe domostwo jak wymiótł. Zostaje tylko sieciarka. Sieciarka zostaje zawsze.

Gdziekolwiek ludzie idą, śpieszą, biegną, jakikolwiek wiatr i pęd ich porywa, ona trwa niewzruszenie na swoim trójnożnym stołku, bardzo stara, często bardzo brzydka, zawsze bardzo biedna.

Sieciarka należy w osadzie prawie do nieruchomości.

Czy deszcz, czy pogoda, czy pożar słoneczny, od wczesnej wiosny do późnej jesieni siedzi w każdem rybackiem podwórku, pod przydaszkiem skleconym z paru tarcic, lub z kawałka żagla, tępa, pieńkowata, zebrana w sobie postać, bardzo podobna do tobołka spłowiałych szmat i chust, z których wyrywają się gwałtowną linią ramiona i ręce wyciągnięte w górę, przed siebie, do słupa, u którego sieć wisi na błyszczącym haku. Ramiona czasem wyschłe, czasem wykręcone dziwacznie na podobieństwo pokracznych

konarów, ręce migające błyskawicą wielkiej stalowej iglicy, która z nieporównaną szybkością przerzuca oka sieci.

Głowa związana małą, czarną chustką, twarz gąbczasta, pożółkła, oczy wyblakłe, osłupiałe, nieme. Opuchłe nogi na deszczułce trzyma, w sabotach, o których wie, że ich nie zedrze nigdy, gdyż jedynym jej ruchem, przez całe dnie, całe miesiące i lata, są rytmiczne wstrząśnienia przy dociąganiu ok sieci.

Wstrząśnie się wtedy krótkiem, silnem drgnieniem cały korpus sieciarki wraz z trójnożnym stołkiem, głowa jej zalata bezprzytomnie na skrzypiących kręgach, muskuły twarzy zadrgają, mętne źrenice zatoczą się gwałtownie w orbitach, w tę i w tamtą stronę, a niezdarte nigdy saboty stukną o siebie głuchym, tępym trzaskiem.

Im rzuty takie jednostajniej i szybciej po sobie idą, im są silniejsze, bardziej konwulsyjne, tem robotnica lepsza, a sieć

doskonalsza. Dobra sieciarka bywa pod starość zupełnie prawie ogłupiona rytmicznemi wstrząśnieniami mózgu.

Ale co jest charakterystycznem u każdej, to jej mały, wykrzywiony w kabłąk palec lewej ręki. Muskuły jego zanikły, wyschły, zmartwiały, skóra od spodu zrogowaciała, zczerniała, kość głęboko zaklęsła, przetarta, zużyta, pod nieustannym naciskiem wżerającego się w nią, przy dociąganiu ok sieci, szpagatu. U bardzo starej sieciarki, koniec małego palca ledwo się trzyma na zużytym stawie.

Takiej o robotę trudno. Nie ma czem dociągać. Nie ma mocy.

Póki ma moc, ideałem jej jest zebrać tyle, żeby mogła sama zakupić szpagat, sieć zrobić o własnym wikcie, i dopiero gotową już sprzedać. Zysk byłby znaczny.

Ale do tego nie przychodzi nigdy. Nie przychodzi, bo najpierw na zakupno szpagatu na sieć, niekoniecznie wielką, trzeba

około stu franków, a powtóre — gotowa sieć trudno znajduje nabywcę. Kto ją wie, co za sieć taka? Nikt jej nie widział jak powstawała zwolna, zahaczona u belki domu, oko po oku, rząd po rzędzie, od skrzydlisk do matni, swoja, znajoma, do rodziny prawie należąca. Nikt nie słyszał warczenia przerzucanej przez oka iglicy, skrzypienia stołka i kręgów sieciarki, nikt nie wie, skąd się tak odrazu wzięła. Taka sieć nie może być pewna. Taką kto kupuje, półdarmo chciałby nabyć, i prawie że za szpagat płaci. Na co mu ryzyko?

Prędko się tedy wyzbywa sieciarka ideału gotowej sieci, a marzy już o tem tylko, żeby coś zebrać na czarną godzinę. Czarna godzina zaczyna wtedy bić, kiedy chroniczna opuchlina nóg posuwa się wyżej coraz, kiedy oddech staje się astmatyczny, świszczący, a mętne oczy na dobre już gasną. Wiązałaby sieć i taka jeszcze, na pamięć, ale już roboty nie znajdzie. Są młodsze, silniejsze.

Wiąże tedy podrywki, plecie kosze, narządza stare niewody i wpół przegniłe więcierze, coraz rzadziej wzywana, coraz gorzej żywiona, coraz mniej przydatna, aż całkiem od niej robota odpadnie. A wtedy idzie stara sieciarka nad morze, i na piaskach siada, łokcie na kolanach, ręce pod brodą, i duma.

...Morze ogromne, huczące... A wszakci je ona przepuściła przez oka swych sieci, kropla po kropli, fala po fali, całe, niezmierne, wielkie, jak je rozlał Bóg...

...Morze nieprzebrodzone, bezdenne... A wszakci jej siecie chodziły, nurkowały po niem, wypatrując obłowu milionem swoich pustych, pustych oczu... Milionem oczu, które zadzierzgnęły jej wyschłe, wyschłe ręce...

...Cały żywot przeciw morzu iglicą knuła, a teraz, na łaskę jego...

...Morze jest miłosierne, jest dobre, żywiące. Morze nie wyrąga: »stara! stara!«... Samo stare. Gdzie! Wieczne...

...Morze nie wymówi źdźbła strawy, nie wypomni coś zjadł, albo ile. Przyjdzie, przyniesie, bez proszenia da, bez dziękowania...

...Morze się i rozgada z człowiekiem... Morze wie wszystko, co, jak, kiedy... Westchniesz sobie, to ci przywtórzy aże ode dna, od samego serca... Zaszepczesz pacierz, to się modli z tobą...

Więc jak u nas pod kościół starość i biedota ciągnie, tak tutaj ciągnie do morza. Tu i tam, jest jakiś dawny, dawny cmentarz zeszłego żywota; tu i tam jakaś świętość, a i opatrzenie.

I siedzą tak, pod ogromną kopułą normandzkiego nieba, wobec solennego podniesienia złocistej monstrancyi słońca, albo w dymach obłocznych mgły siwej, przy huku żywego organu, skulone, zastygłe, podobne w spłowiałości swojej do małych pagórków nadbrzeżnego piasku, które jeden zalew morza narzuca, a drugi umiata, ogłuszone szumem, obryzgane pianą

walących się wód, wlepiając w ślepy żywioł wpółoślepłe oczy. A kiedy huk ucichnie, a fala pluć przestanie, zczołgują się na opuchłych nogach niżej, coraz niżej, i chciwie, poomacku, szukają w mokrych żwirach — krabów.

Silniejsze, śmielsze, dochodzą aż do oślizgłych wiązań starej tamy, gdzie czepia się gęsto czarna skójka morska, która zaś na fajerkę rzucona, otwiera się z cichym trzaskiem i ukazuje smakowite wnętrze. Ale że przed chłopakami nie łatwo co dostać.

Chłopaków w starej tamie zawsze pełno.

Okrakiem na słupach siedzą, jak małpy wiszą u balek, u dylów, po trzech, po czterech włażą sobie na ramiona, na plecy, kłócą, się, biją, wrzeszczą, za łby drą, rozdziewają się, kąpią w dołkach, chlustają dookoła wodą i błotem, a skójki na surowo jedzą zaraz z miejsca, nie licząc, że każdy pełną ich torbę do domu matce niesie.

Nasza gospodyni nie pozwala zadawać się swemu »Jean« z tą hałastrą. »Jean« jest »ofiarowany«, a to obowiązuje.

W rodzie Toutainów zawsze jeden chłopak jest »ofiarowany«. Ich czarne podłużne oczy, ich blade smagłe twarze, ich nizkie, prawie że okrągłe czaszki, widzieć można we wszystkich kościelnych chórach od »Val-de-Grace«, aż do »Pont-Evecque« i to dodaje powagi rodowi.

Zdarza się wszelako, że »ofiarowany« nie dotrwa.

Ludwik Toutaint, jeden z siedmiu braci naszej gospodyni, także nie dotrwał, ale z domu uciekł, w Hawrze na okręt przystał i coś w półtora roku dopiero doniósł o tem rodzicom, błagając, aby mu pozwolili przybyć na Boże Narodzenie, gdyż bardzo mu tęskno do domu i co noc łzami się zalewa.

Oczywiście że — nie pozwolili.

Matka zwłaszcza zacięła usta tak silnie, że do wieczora dnia tego nie przemówiła

ani słowa. Wkrótce też jakoś utonął ów straceniec u angielskich brzegów, zaczem ofiarowali starzy Toutainowie drugiego.

Ten był najmłodszy, słabowity, i zakochany w małej sąsiadeczce. Opierał się zrazu, ale matka znów usta zacięła i zamilkła, więc nie było rady.

Poszedł tedy za wolą rodziców i już klerykiem został, kiedy go w dwudziestym drugim roku życia suchoty dogryzły.

Ten to kleryk — nieboszczyk, wisi w paradnej izbie domu aż w dwóch wielkich egzemplarzach bardzo brzydkiej i bardzo czarnej fotografii, okropnie wychudzony, z głęboko zapadniętą skronią i z oczyma pałającemi śmiertelnem zarzewiem. Jest straszny.

Co do »petit Jean«, ten zachowuje pełną powagę »ofiarowanego«, nawet idąc na węgorki.

Trzymany za rękę przez matkę, statecznie stąpa na cienkich nogach, w płytkie sabocięta obutych, w długim czarnym

kamlotowym fartuchu, przepasanym po wierzch rzemiennym paskiem, bez czapki,— czapki zgoła nie posiada i nie nasza, — z nizko postrzyżoną czarną łepetyną, która go czyni podobnym do kreta.

Statecznie stąpa, a ku »hałastrze« zpodełba okiem strzyże.

Ale i »hałastra« także go spostrzega.

— Ohé, Jean!...

— Ohé, le Voué!...

Krzyk, wrzask, stawanie na łbach, młynkowanie bosych stóp w powietrzu.

Janek patrzy, słucha, czerwienieje, złote ogniki zapalają się w jego czarnych oczach. Znać, że w nim dusza do tej hałastry aż piszczy.

Nagle wyrywa matce rękę, i ni stąd ni zowąd zaczyna biegać, wierzgać, wyrzucać głową i kwiczeć jak źrebak.

— Jean!... Jean!... — woła pani Toutaint zgorszona, zdziwiona, przestraszona poprostu.

Ale »hałastra« ją zagłusza wrzeszcząc,

klaszcząc w ręce, bijąc się po kłębach, i podrzucając na wiwat drewniane chodaki.

— Ohé, Jean!...

— Ohé!... Ohé!... Ohé!...

A chłopak uniesiony, oszołomiony aktem własnego zuchwalstwa, pędzi, bryka, galopuje, toczy kołem, pada na czworaki, tarza się, rży, wali nogami w piach, gryzie, kopie, staje dęba, pieni się, szaleje, rozczerwieniony, zziajany, parskający, opętany jakby. Zda się całe »sablons« w powietrze rozciska.

A tuż »hałastra« okrąża go, ogarnia, pobudza, krzykiem i wyciem szczuje, zupełnie jak stado szatanów.

— Ohé, le Voué!...

— Ohé!... Ohé!... Ohé!...

Jakaś piekielna sarabanda skręca się i rozkręca, wśród ogłuszającego wrzasku.

— Jean!... Jean!... — woła raz po raz matka, dusząc się prawie, i aż blada z gniewu.

Ale chłopak nie słyszy, nie widzi nic. Wściekł się, zapamiętał, zwilkołaczał zgoła.

Wtedy pani Toutaint umilkła i zacięła usta wązkie i mocno rodowe.

IV

Przy drzwiach otwartych

Na lewo od naszego mieszkania stoi mały stary domek z ceglanemi schodkami i szpakiem, w wywieszonej nazewnątrz klatce.

Domek jest przez cały dzień cichy i zamknięty. Wdowa z córką w nim mieszka, i obie pracują u ludzi. Pod wieczór dopiero wązka smuga dymu oznajmia, że gospodynie wróciły i gotują strawę. Chwilę słychać brzęk naczyń w szczelnie zamkniętej izbie, potem otwierają się drzwi jak szerokie na mroczne wnętrze cegłą wyłożonej sieni, a tuż u wejścia, przy wązkim zastawiającym je stole, zasiada wdowa z córką, dużą, płaską anemiczną dziewczyną o przepysznych złoto rudych włosach, i obie zaczynają dziać grube weł-

niane pończochy. Jest cisza. Kobiety milczą. Co do szpaka, ten widać niedawno schwytany, trwa jeszcze w stanie dzikiego nastroszenia i także milczy.

Ale kiedy dzwony z wieży »Notre Dame du bon secour« zaczną bić na »Ave« okiennice poniżej położonego sklepiku z sabotami zamykają się z trzaskiem, a młody sabotnik zwolna wstępuje na poziom naszej uliczki, prosty, dorodny, w swojej ciemnej trykotowej bluzie, z szeroko wywiniętym kołnierzem na grubo ciosanej szyi.

Młody sabotnik chodzi w zaloty do dużej płaskiej dziewczyny. Jest — »le prétendu«, jak mówi nasza gospodyni.

Dla córki rybaka takie lądowe małżeństwo nie bardzo pasuje. Jest mezaliansem prawie. Morze, i to co do morza należy, co w morzu pracuje, należy do arystokracyi w osadzie, a sieć i wiosło jest prawie rodowym herbem. Ale że ojciec dziewczyny razem z barką na zimowym połowie zginął, więc nie było co za córką

rybakowi dać, a tak zdecydowała się wdowa i na sabotnika.

Sabotnik, jako blizki sąsiad i konkurent, przychodzi z gołą głową, pozdrawia kobiety, i zatrzymawszy się u pierwszego schodka, zaczyna rozmowę — z matką. Tymczasem zorza gaśnie. Po chwili dziewczyna odchodzi w głąb domu, zapala małą lampę i stawia ją na wązkiem stole. Wtedy sabotnik wstępuje parę schodków wyżej, wspiera się łokciem o odrzwia i stoi jak wspaniała karyatyda, w pół mroku, w pół świetle. Czas mija, uliczka cichnie, szum morza coraz wyraźniejszym się czyni. Ruda dziewczyna podnosi od chwili do chwili ciężką od masy rudych włosów głowę i na zalotnika patrzy.

Rozmowę wszakże podtrzymuje wyłącznie matka. Podtrzymuje ją zrazu z ożywieniem i gadatliwie, potem ziewając trochę, potem się raz i drugi znienacka na stołku kiwnie, aż wreszcie podeprze głowę i na dobre zdrzemnie.

Tymczasem wschodzi księżyc ogromny, rozpalony, ciężki, gorący. Dziewczyna porusza drutami coraz wolniej, ociężalej, leniwiej, coraz częściej, podnosi oczy na młodego sabotnika, póki gruba pończocha, błyszczące druty i obie ciemne nieduże ręce na fartuch jej nie spadną.

Robi się cisza trochę duszna i trochę męcząca.

Rzadki przechodzień zastuka chodakami, czasem się zatrzyma, zagada, czasem z daleka tylko rzuci świecącemu skróś mroków domkowi swobodne: »Ohé, la compagnie!« — i znowu cisza. Młodzi nie mają sobie prawie nic do powiedzenia.

A wkoło nich odgrywa się czarowna fantasmagorya miesięcznej normandzkiej nocy.

Księżyc daleko odbił już od ziemi, wzleciał, wysrebrniał, uczynił się lekki, przejrzysty. Głębokie wnętrze blizkiego parku »les Fremettes«, roztajemniczyło się w ulewie bladej jasności, która zato-

piła ścieżki jego i trawniki. Ogromne platany i tuje rozkwitły po wierzchołkach księżycowem światłem, jakby bukietami srebrzystego kwiecia.

A morze przestało szumieć, zapatrzyło się, zasłuchało, i tylko zlekka trąca w przejasne struny, które na niem drgają...

Nagle, szeroka smuga miesięczna padła wprost na domek i oświetliła młodego sabotnika, który, wyciągnąwszy się w przepysznej pozie wzdłuż ceglanych schodków, łokciem się na najwyższym ich stopniu wsparł i twarz ku dziewczynie obrócił. A ona, siedzi za wązkim stołem prosta, sztywna, jakby zahypnotyzowana, a złotorude jej włosy palą się poprostu, na tle mrocznego wnętrza sieni, jakiemś zielonawem światłem, a oczy ciemnieją, jak dwie czarne plamy, a twarz blednie, a drobne, anemiczne usta czynią się mocno czerwone.

Tak przechodzi jeszcze godzina, dwie, póki ku północy matka nie przecknie, i spać

nie zawoła. Wtedy sabotnik przeciąga się leniwie, podnosi, wstrząsa krótkim dreszczem, jakby od nocnego chłodu, i pozdrowiwszy kobiety, zstępuje gwiżdżąc z cicha.

Tak się odbywają konkury na normandzkim brzegu.

Póki mu ślub nie nada praw szczególnych, »le pretendu« nie przestępuje progu domu dziewczyny, ale odprawia zaloty przy drzwiach jak szeroko otwartych, oświetlonych, i na oczach wszystkich. Wązki stół zastawiający wejście nie jest tu czczą barykadą, ale wyrazem prastarego, uświęconego wiekami obyczaju.

Stąd też konkury odbywają się przeważnie w lecie, na wiosnę, i wczesną jesienią, tak, aby zimowe chłody nie stanęły w kolizyi z wymaganiami etyki i opinii.

Opinia gra w osadzie ogromną rolę i jest nieubłaganą.

Dziewczyna, która wychodzi w niedzielę

z domu sama, a nie pod opieką ojca albo matki, dziewczyna, która się w fatałaszki miejskie stroi, śmieje się i rozmawia z młodzieżą, nie jest »une fille de conduite«, i nie ma tu co robić. Niech lepiej odrazu na służbę do Hawru albo do fabryki idzie, nim się naje wszelkiego rodzaju goryczy i na starość sieciarką zostanie.

Za to »fille de conduite«, choćby też w jednej sukienczynie tylko, taka męża znajdzie.

Rybak musi być pewnym żony; musi być spokojnym o to, co się dzieje w domu, gdy on sieć skróś morza ciągnie; musi mieć »lekką głowę« — jak tu mówią — gdy ma ręce ciężkie. Stąd niezmierna surowość etyki małżeńskiej. Żona rybaka, jako dobro zostawione ufnie, bezbronnie, pod strażą osady, jest — »res sacra«.

Ostatniego też chłystka trzeba na to, żeby się na lekki romans z mężatką puszczał. Po prostu — złodzieja. Taki napewne, nie doniesie do grobu w skórze ca-

łych kości, a za jego turkawką pokazywaną palcami przez starszych, gromady wyrostków świstać będą i wrzeszczeć tak, że się nie ośmieli z domu wyść, chyba zmrokiem i chyłkiem do studni.

Wcześnie więc tu kobieta uczy się panować nad sobą, rządzić sobą i stać sama sobie na surowej straży. Stąd ta powaga, ten spokój normandki, ta jej dostojność prawie. Zdarza się wprawdzie, że jakiś szalony, nieprzeparty pęd, rozpali dwoje, rozjarzy w jeden płomień i porwie ku sobie. Ale najpierw, takie wypadki są niezmiernie rzadkie, a potem dla ugaszenia onych ogni zawsze w morzu wody dość, a i świat też szeroki, i rogatka na drodze nie stoi.

Ściśle rzeczy biorąc, mąż wtedy zupełnie spokojnym być może o żonę, gdy ta rentę zbiera.

Jest to namiętność, pochłaniająca sobą wszystkie porywy, i jest to ujście dla wszelkich pożądań.

Normandzka Ewa nie zjadłaby jabłka.

Onaby je sprzedała i grosz do kasy zaniosła. Kochanek naraża na straty, mąż daje pewny dochód — oto najgłębszy, bo ekonomiczny grunt kwestyi.

Z tem wszystkiem, przy wielkich barkach wypływających taborem na morze, kołyszą się zawsze małe, wązkie czółna, które para skrzyżowanych wioseł, nawet przy przeciwnym wietrze, popędzić może do brzegu. Nieraz wskróś mgły najgęstszej i w czas najpóźniejszy, mknie takie czółno z fali na falę spychane, lekkie, chyże, ledwie zbliska widne. A wiosła idą w toń cicho, a ramiona wioślarza naglą, a czółno ptakiem się niesie.

Czasem przybiega tak morzem, połów rzuciwszy, młody, niecierpliwy małżonek, a wtedy czółno u przystani staje. Zdarza się wszakże, iż u przystani nie staje, tylko chyłkiem gdziekolwiek do brzegu przybija. Wtedy napewno skrada się niem zazdrosny, podejrzliwy mąż.

Mąż, kiedykolwiek się pojawi, powinien zawsze zastać żonę w domu.

Trzy rzeczy powinien zawsze zastać w domu: żonę, suche pończochy i gorącą wodę. To jego mężowskie prawo.

— Młode i głupie — powiada nasza gospodyni — lecą do przystani odprowadzać mężów i tam się z nimi żegnać i całować. Ale mądra żona nigdy tak nie robi.

Mądra żona żegna się z mężem w izbie, a zanim mąż próg przestąpi jeszcze, idzie pod ścianę i u sieci siada. Tak czynią wszystkie prawdziwe rybaczki. U sieci, na stołku pod ścianą powinien mąż widzieć żonę po raz ostatni, tak ją w pamięci zachować, i tak też, na tym samym stołku, za powrotem zastać.

— No i bywa tak, że zastaje?

— Czemu nie. Doświadczenie wszystkiego nauczy... *Et puis aprés, vous savez*, na każdym strychu jest przecie luneta.

V

DO ZIEMI

— Oho, będzie źle, bo się żydówki kręcą! — mówiła pod wieczór nasza gospodyni, patrząc na niespokojne loty jaskółek nadbrzeżnych.

A one istotnie się kręciły, zbierając się i rozpraszając zgiełkliwie, pośpiesznie, tłumnie.

Czarne ich pióra nurzały się to w wodzie, to w poszarpanej, mrocznej czerwieni zachodu, pod którą bałwaniło się i przelewało z głuchym szumem śniade, rdzawo poplamione, morze.

Jakoż jeszcze nie ugasła ta burzliwa zorza, kiedy od wschodu zaczęły na nią iść ciężkie, prawie czarne chmury i, zatłumiwszy ostatek jasności dziennej, zwisły nad światem nizką, tłoczącą posową.

Zaraz też zapadła noc wczesna i tak parna, że w małych rybackich izbach trudno było oddychać, nawet przy otwartych oknach.

Zdawało się, że lada chwila błyskawice luną i rozpocznie się kanonada burzy. Jakoż w chmurach słychać było raz po raz wark groźny i głuche, to zbliżające się, to oddalające grechotanie.

Burza nie przyszła jednak.

Natomiast o samem świtaniu porwał się mocny wiatr wschodni, uderzył w chmury, rozbił je, uczynił między niemi wązką, pełną bladego światła rozpadlinę, pod którą, na dalekiej roztoczy ciemnego, prawie że granatowego, morza, rozlało się jakby jezioro, drgające żywem srebrem.

Było to widowisko jednej chwili tylko, gdyż zaraz na rozjaśnienie owo popędziły ciężkie, coraz gęstniejące chmury; wszakże i tej jednej chwili było dość, żeby na smudze drgającego światła zobaczyć spory statek, który ją z trudem przecinał, kie-

rując się do brzegu. Poczem, razem z nią, zagasł nagle i pogrążył się w zamęcie burzliwego mroku.

Ale przeciw wschodniemu wichrowi zaczął około godziny siódmej dąć i burzyć silny wiatr zachodni. Zrazu smagał morze krótkiem i gniewnem fukaniem, podbijając bałwaniącą się toń w ostre, kanciaste, biało zapienione rzuty, które wyskakiwały na znaczną wysokość.

Poczem, wzmógłszy się do niesłychanej gwałtowności, pędził fale na fale, piętrzył je, zdębiał, ciskał niemi tak, że zaczęły się miotać po morzu całe góry wody, pod któremi wrzała otchłań grubych, niemal namacalnych, mroków.

Jednakże nowe uderzenie przeciwnego wiatru rozerwało chmury, a statek znów się wyrznął z dzikiego zamieszania owych strasznych zmierzchów.

Teraz można było rozpoznać, że jest to statek rybacki, ze zwiniętemi żaglami i opuszczonym do połowy masztem, w który

rozhukane morze waliło z niesłychanym gwałtem.

A już na brzegu zaczęli zatrzymywać się i stawać kupkami ludzie, a z dymników osady wysuwały się tu i ówdzie lunety.

U nas wszakże było spokojnie.

Wtem uchyliła drzwi najbliższa sąsiadka i, obejrzawszy się po izbie, spytała, czy Mére Toutaint jest w domu.

Nie było jej w tej chwili. Wkrótce jednak nadeszła, dźwigając wiadra, pełne wody, i zobaczywszy sąsiadkę na progu, zaczęła pytać zdaleka:

— A kogo to tam wichrzysko tak tłucze?

Pytała niefrasobliwie, bezpiecznie.

W istocie, nie mógł to być nikt blizki, nikt z osady nawet. Flota rybacza, która w niedzielę na noc wypłynęła z portu, spodziewana była z powrotem o sobotnim, wieczornym przypływie, a to był ranek czwartkowy.

Zresztą rybacy trzymali się zawsze po kilku razem, a chciał który do domu, to czółnem leciał, a statek zostawiał na linii połowu.

Najmniejszego tedy niepokoju nie było w jej głosie.

Ale sąsiadka podniosła na nią poważne spojrzenie, a pomilczawszy chwilę, rzekła:

— *Une barque en perdition.*

A wtedy Mère Toutaint stanęła nagle, poczerwieniała, otworzyła usta, oczy jej zaokrągliły się, jak oczy ptaka, i stojąc tak z wiadrami, patrzyła na przybyłą przerażona, skamieniała niemal.

Naraz usta jej się zaczęły trząść, puściła wiadra i skoczyła na strych.

A już i dalej mieszkające rybaczki zaglądały we drzwi, z pochowanemi pod fartuch rękami, a przez okna widać było coraz więcej ludzi śpieszących nad morze.

Szli z suchym, prędkim stukiem drewnianych sabotów, z rosnącym i opadającym szmerem pomieszanych głosów.

...*Une barque... Une barque en perdition.*

Ale my biegłyśmy na strych, gdzie Mère Toutaint usiłowała ustawić opartą o wylot dymnika lunetę.

Nie szło. Ręce jej się trzęsły, palce nie chciały słuchać, skołowaciałe, sztywne.

Nikt wszakże nie śpieszył z pomocą. Sąsiadki stały kupką, u wejścia, onieśmielone, milczące.

Nastawiła wreszcie i zaczęła patrzeć...

Zrazu zdawało się, że nic nie widzi, albo że widzi coś, czemu nie wierzy. Wstrząsała głową, przecierała oczy, jak człowiek, który z nich mgłę chce odegnać. Nagle zęby jej zaszczękały głośno.

— *Jesus Dieu! Notre goêlette!* — zawołała, jakby nieswoim głosem.

Chciałyśmy ją oderwać od lunety, ale trzymała się jej z konwulsyjną siłą, powtarzając bezprzytomnie, to ciszej, to prawie z krzykiem:

— *Jesus Dieu!... Jesus Dieu!...* — i trzęsąc się, jak w febrze.

Twarz jej poczerniała, jakby ją dym obwiał, usta zbielały zupełnie.

A statek dostał się teraz na główny prąd dwóch przeciwnych wichrów, które, wziąwszy go między siebie w szalone obroty, miotały nim z tak nadzwyczajnym impetem, iż zdawało się zupełnem niepodobieństwem, żeby go rozbić nie miały. Co jeden bałwan nim ciśnie, to drugi go odrzuca, a morze idzie po nim, pieniąc się i hucząc, a tabuny chmur czarnych, grzywiastych, pędzą nad nim, odsłaniając i zakrywając ołowiane niebo, pod którem wrą śmiertelne otchłanie. Że jednak wiatr zachodni przemagał, nieszczęsny statek posuwał się stale ku brzegowi, to wirując i kręcąc się w kółko, to nagłem pchnięciem ciśnięty, poniesiony wierzchem huczących wałów, aby się znów pogrążyć i znowu wypłynąć.

Teraz i bez lunety widać było dokła-

dnie, że pokład jest zamknięty, pusty, że z trzech masztów został tylko jeden — główny. Ale wszyscy wiedzieli, że pod tym zamkniętym pokładem, w tej strasznej, ciskanej morzem trumnie, są zamknięci ludzie, dla których bije ostatnia godzina.

Na brzegu tymczasem zebrał się tłum znaczny. Nie byli to wszakże rybacy, ale luza wszelakiego rzemiosła, mniej obyta z morzem.

Jakoż wszystkie oczy były w nie wbite, z bezradnem osłupieniem trwogi. Zresztą kobiety i dzieci przeważały w tłumie.

Nagle wielki wybuch pomieszanych głosów.

Maszt runął. Statek był zgubiony. W tej samej chwili Mère Toutaint krzyknęła przeraźliwie:

— *Mon gosse! Mon gosse!* — i puściwszy lunetę, biegła, roztrącając nas, przez schody, przez sienie, prosto do przystani. W tym ostatecznym i prawie że śmier-

telnym momencie, nie o męża jej szło, ale o syna, o średniego Charlesa, który już od dwóch lat ojcu na morzu pomagał i teraz był z nim razem. W przystani spuszczano właśnie łódź ratunkową, na którą siadło czterech ochotników z bosakami, ze sznurami, z pasami.

Zaledwie wszakże łódź od brzegu pchnięto, kiedy gwałtowny pęd wichury okręcił ją, porwał, poniósł i znów o brzeg cisnął. Wrzawa powstała w tłumie. Głowy zaczęły się chwiać, ręce i ramiona targać, twarze były zgorączkowane i wzburzone. Jednakże dwóch nowych ochotników wioślarzy skoczyło teraz na łódź, która z tak powiększoną załogą puściła się raz jeszcze.

Jakoż zdawało się przez chwilę, że przemoże siłę wichru, który jakby zwolniał nieco i opadł. Nie minęli jednakże ostatnich wiązań starej tamy, kiedy fale zaczęły miotać łodzią tak wściekle, iż nie było podobieństwa posunąć się naprzód.

Kręcili się tedy ratownicy czas jakiś,

daremnie usiłując wybić się na prąd równiejszy, zaczem, nie mogąc użyć ni rudla ni wioseł, z najwyższym wysiłkiem i niebezpieczeństwem chwycili rzuconą z tamy linę i wydobyli się po niej na pomost wpół martwi, zostawiwszy łódź jej losowi.

Od tej chwili widocznem się stało, że puścić się na morze byłoby to niechybnie zginąć.

Ale Mère Toutaint, widząc, iż ludzie wracają, rzuciła się do nich z nieprzytomnym krzykiem:

— *Mon gosse!... Mon gosse!... Mon gosse!...*

Musiano ją siłą trzymać, bo się rwała prosto na morze. Tymczasem mrok, i przedtem już duży, tak zgęstniał, że psy zaczęły wyć, jakby na zaćmienie.

Wtedy latarnik, wysoki, barczysty brodacz, wyszedł na galeryę faru i zapaliwszy zielonawe światło, pod którem oblicza ludzi stały się widmowe, zaczął nawijać na skrzypiącej korbie linę ratunkową.

Oddalenie wszakże statku było tak znaczne, iż zmierzywszy je wzrokiem, puścił korbę, machnął ręką i targnąwszy sznurem, uderzył w dzwon na trwogę.

Natychmiast uciszyło się w tłumie. Wszyscy poklękali, mężczyźni odkryli głowy i pod hukiem morza zaczęto odmawiać litanię za ginących, z tą śmiertelną prostotą i powagą, która cechuje rzeczy ostateczne.

Tylko krzyk matki, krzyk rodzących wnętrzności bił z pośrodka tych spokojnych głosów, ostry, rozdzierający, pełny bezsilnej rozpaczy.

A kiedy tak mówiono tę straszną litanię, zdawało się, że tam, pod zamkniętym pokładem miotanego wichrem statku, ludzie też klęczą i do Boga krzyczą. Ale statek trzymał się jeszcze, pomimo utraty masztu.

Teraz jednak był to już tylko martwy, niekształtny kadłub, który lada chwila miał uledz ostatecznemu rozbiciu.

Właściwie nie on się trzymał, ale go trzymała równa niemal siła dmących przeciw sobie wichrów.

Gdy jeden z nich słabnął, statek walił się, jak trup, póki go drugi nie podbił, nie chwycił i nie cisnął dalej.

Było około jedenastej godziny i litania dobiegała do końca, kiedy wschodnie wichrzysko ryknęło wściekle i, rzuciwszy się na morze, zakręciło niem w jakiś lej okropny, w którym nieszczęsny statek pogrążył się i zniknął nam z oczu.

Zaraz też zaczęły po nim ciemności iść, a huk i mrok wypełnił otchłań całą.

Tedy głosy odmawiających litanię stały się jakby żarliwsze jeszcze i surowsze, a dzwon, szarpnięty nagle, zakołatał głucho i umilkł.

Ale w tem wicher zachodni porwał się tak niesłychanym i gwałtownym pędem, że powietrze zaczęło trząść się i warczeć, jak struna miedziana. Zaczem się zaniósł, zawył, zahuczał, o morze sobą trząsnął

i odrzuciwszy wstecz bałwany, walące się za przeciwnym wichrem, wychwycił statek z śmiertelnego wiru i pchnął go tak potężnie, że statek, jak ptak, poleciał wierzchem prawie morza, aż, ciśnięty o ławicę piasku, utknął w niej, jak działowa kula i zarył się bokiem.

Natychmiast na brzegu powstał ruch, krzyk, zrobiło się zamieszanie, przerwano modlitwę, a Mère Toutaint, myśląc, że już po wszystkiem, upadła zemdlona.

Nie ratował jej nikt, bo wszyscy hurmem na ławicę biegli.

Jeszcze wszakże nie dobiegli do pierwszego rozwidlenia piasków, kiedy z pod pokładu rozkołatanej, rozpłaszczonej barki wynurzył się połową ciała Père Toutaint; rozejrzał bacznie gdzie jest, zniknął i znów się ukazał, dźwigając na plecach długi, owinięty żaglem, przedmiot, w którym na pierwszy rzut oka można było poznać martwe ciało ludzkie.

Na ten widok, ci, którzy pierwsi biegli,

krzycząc, umilkli i stanęli. Za nimi stanęli inni. Wyciągnęły się szyje, wytrzeszczyły oczy, na twarzach wymalowała się groza.

Chwilę stał tak ten tłum niepewny, cichy, jakby skamieniały, poczem głowy zaczęły się chwiać, a z ust do ust szedł głęboki, stłumiony poszept:

— *Le gosse!... Le gosse!...*

Wszystkie oczy pobiegły teraz ku nieszczęsnej matce, kilka kobiet wracało się śpiesznie, aby ją trzeźwić i ratować.

A tymczasem, po szerokich, rozległych piaskach, pod siną jasnością burzliwego nieba, szedł stary rybak z odkrytą głową, szarpany wichrem, zgarbiony pod swoim strasznym ciężarem.

Tego momentu, tego nieba, tego obrazu nigdy nie zapomnę.

Nagle krzyk bezpamiętny, szalony...

Mère Toutaint leciała z rozpostartemi rękoma wprost na ten mur ludzki, który jej sobą rozbitków zasłaniał.

Leciała nieprzytomna, ślepa, zupełnie zapamiętana.

Wpadła na tłum, roztrąciła go, cała w wichrze, w uniesieniu, w szale.

Mon gosse!... Mon gosse aimé!... Mon gosse!...

A on, jej »*gosse*«, rzeczywiście biegł cały i żywy od strony rozbitej barki i wyprzedziwszy ojca, leciał wprost w ramiona matki.

Wpadli na siebie, jak burza. Radości podobniejszej do szaleństwa nie widziałam jeszcze.

Śmiejąc się i płacząc razem, Mère Toutaint ogarniała chłopaka rękoma, fartuchem, całą sobą.

Zdawało się, że gdyby Pan Bóg chciał w tym momencie odkupić go od niej, nietylko ziemi całej, ale wszystkich gwiazd niebieskich byłoby na to kupno za mało.

Tymczasem Père Toutaint położył na piasku topielca, którego nikt nie znał.

Okazało się, że właśnie ten topielec był przyczyną całego wypadku.

Był to bowiem jeden z tych topielców, częstych na brzegach Normandyi, którzy zamiast poprostu iść na dno, *et ne pas faire de l'ennuie*, — jak mówi Père Toutaint, opowiadający nam historyę swego przedwczesnego powrotu, — upierają się i gwałtem chcą do ziemi.

— Wszystko szło jak najlepiej, — tłómaczy się Père Toutaint żonie — kiedy wczoraj z rana rzecze do mnie chłopak:

— Topielec za nami płynie.

Tak ja na to:

— A niech płynie.

Tak chłopak:

— A kiedy w burt trąca.

Tak ja znów na to:

— Niech trąca!

A chłopak:

— Znaki daje!

Więc ja:

— Niech daje! Nie będziemy go brać. *Il-y-aurait de l'ennuie!*

Ale topielec ani myśli od nas się odczepić. Gdzie my, tam i on, i precz w burty trąca. Tak widzę, niema rady. No, niech tam, kiedyś się już tak naparł tej świętej ziemi, to cię i zabiorę. Dziś tobie, jutro mnie. Niech tam!

Wciągnąłem go z chłopakiem na pokład i przykryłem żaglem. Niech leży. Jak wrócimy, to się go pochowa.

A w tem wiatr zaczął burzyć morze. Wiadomo, na rybę najlepszy czas. Zakładamy, a tu siecie nie chcą morzem iść. Ciągniemy — nie chcą! Dorzucamy kamieni, ciężar nie do wytrzymania, na nic! Nie chcą i nie chcą. Widzę ja, że to tak temu topielcowi do pochowu pilno, więc ściągnę sieci i obrócę rudla. Niech tam! Naciesz się tą świętą ziemią, kiedy jej tak upragniesz!

Ledwo my się z powrotem ruszyli, a tu jak się nie porwą przeciw sobie dwa wi-

chry! Jak nas nie cisną morzem! Myślałem — koniec! Tak mówię ja do tego topielca:

— *Oh, là là*, mój kochany! To ty taki gość?

Tu Père Toutaint do nas, profanów, rzecz obraca i dodaje w nawiasie:

— Wiadomo, że dwa wichry za topielcem chodzą, bo ziemia ciągnie w swoją stronę, a morze znów w swoją.

Poczem kończy:

— Takiś — mówię — gość?

Jak tak, to ja tu z tobą krótkie prawo zrobię: Za nogi i w wodę! Ja rybak, widzisz, z morzem muszę trzymać. To trudno!

Ale mówiłem ot tak, żartem tylko, bo on patrzał na mnie temi zbielałemi oczyma tak pilno, jakby wołał: Do ziemi! Do ziemi! A tu w nas morze jak taranem wali. Samo po niego idzie. Tak mi się żal zrobiło. Wciągnąłem onego biedaka pod pokład, zamknąłem, zatarasowałem

i czekam, co będzie. Ba! Gorzej coraz. Morze się jak żandarm dobija o swego topielca. Barka trzeszczy, skrzypi, każda deska, każdy kawałek żelaza osobno w niej szczęka, dygoce... Tak myślę: Albo strzyma, albo i nie strzyma. A woda tak po nas szoruje, jakby po gościńcu.

Więc krzyknę: Chłopak! A mów jeno pacierz! A dzieciak, z tego strachu, ani rusz do pacierza trafić, tylko klęczy, trzęsie się i precz w kółko:

— Matko Boska! Matko Boska! Tyś taka dobra! Taka już dobra! Taka śliczna! I taką śliczną suknię masz! Matko Boska!

Tak się to chłopczysko spłakało, spłakało, padło i zasnęło.

A w tem prask! Maszt dyabli wzięli! Sto piorunów, myślę, śmierć nasza!

Morze mocniej ciągnie!

A nieprawda! Taki ziemia przyciągnęła swego!

I uśmiecha się Père Toutaint, puszczając dym z fajki.

. . . . . .

Nazajutrz pogrzebano za grosz składkowy nieznanego nikomu topielca.

VI

MORZE ODESZŁO

Morze odeszło. Odeszło w pomieszaniu, w pośpiechu, ściągnąwszy z nagłym gwarem wielkie swoje wały; zaczem już tylko drobną, nierówno przechybniętą falą, rozlewa się po siwym obrusie piasków, podobne szumiącemu winu, którego jasne perły z sykiem pękają i gasną.

Już jest daleko, jeszcze się ociąga, jeszcze wzdycha, wraca, przybiega, umiata żwiry, zabiera z sobą ich garście, i znowu powraca, i znów odbiega, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze...

A piasków przybywa coraz. Każdy zabieg, każde chluśnięcie fali mniejszym je rzutem nakrywa; każdy odbieg przyczynia ich brzegom.

I leżą tak umiatane i narzucane, dro-

bnemi warstwami schnące, regularnie pokarbowane, pogięte, jak wielki, szeroko rozrzucony postaw złoto-popielatej mory, po której szlaku lata jeszcze obrębująca go srebrną frendzlą cewka.

A morze coraz dalsze, coraz cichsze, coraz krótszym oznajmiane poszumem, skupia się, zawściąga, wchłania w siebie rozbiegane fale, aż cofnąwszy je wszystkie ku wyżynom utwierdzenia swego, kołycha się zwolna, ciężko na otchłannych piastach, pełne jak oko, bezdenne, nieruchome prawie.

Duże statki rybackie, które odpływ poniósł ze sobą z przystani, tkwią na wezbranych głębiach, także nieruchome jakby, pojedynczo, po dwa, po trzy, tworząc dziwaczną arabeskę na najdalszym planie.

U brzegu tymczasem zaczynają winąć się i dymić modrawe opary, które w perłową jasność matowego ranka sączą całą skalę ametystowych, delikatnych tonów.

Niebo nizkie, po skłonach rozbielone

nieco, mży przez chwilę bladem światłem skróś oparów tchniętem, poczem świat się ucisza, zatłumia, przygasa, cały w liljowem zadumaniu tonie.

Głębokie ławice lekko żwirami zaiskrzonych piasków wynurzyły się, wyciągnęły, zakwitły pociemniałe nagle, jak długie, długie grzędy hyacyntów, ku Villers, ku Beuzeval, ku Houlgate, ku Cabourg, aż po skaliste wręby oceanu.

Na prawo, delikatna koronka wiązań i arkad Wielkiej tamy u Roches Noires, na fijołkowe przeźrocza rzucona; na lewo majacząca w głębokich oparach przystań, której maszty i reje czynią sobą wizye olbrzymich, chwiejących się nad mętną otchłanią irysów.

A tam, daleko, daleko, jak oko puścić, sinieje skróś mgły ciemna, drgająca wnętrzną przejrzystością plama. To morze.

Coś muzycznego jest w tym momencie, coś symfonicznego.

Jakaś ogromna, jednotonnie wibrująca

dźwięczność płynnych linii i barw przyćmionych, sennych. Jakaś nieskończenie mięka, faliście wzmagająca się i opadająca dźwięczność nie ujętych, niedotkliwych, wprost widmowych kształtów.

Jakaś bliskość wszystkiego i dalekość razem.

Jakaś subtelna gama rozpylonych tonów i półtonów od srebrnej błyskawicy skrzydeł mewy bijącej w nikłą liljowość powietrza, do głębokiego fioletu dziko zarosłych, poszarpanych wzgórz, które siedzą jak wielkie gniazda ciemnych ametystów.

Jakieś niezmierne zlanie się, zapłynienie sobą kolorów, świateł, cieniów, jakieś wsiąknięcie świata w tło dziwne, widmowe, na którem ledwo że się rysują zatarte kontury i gasnące zjawy.

Naraz pieśń.

Pieśń prosta, cicha, raczej mówiona niż śpiewana, zlewająca się harmonijnie z muzyką momentu.

...»Ils ont choisi la mer,
Ils ne reviendront plus...
Et puis, s'ils vous reviennent,
Les resonnaitrez vous?

...Or, ils n'ont plus leur âme,
Elle est restée en mer,
Ils ne vous reviendront plus,
Ils ont choisi la mer«...

Znam pieśń tę, a i głos znam także. To blada, wysoka Ivetta śpiewa w ogródku swoim, pełnym ciemnej zieleni bukszpanu i wielkich krzów lawendy, której okryte drobnym kwiatem rózgi, śmigają fijołkowemi kiściami ze starego, poczerniałego pnia, jak u nas wiosenne pędy z ogłowionej wierzby.

Ivetta jest młoda jeszcze, wątła, zmizerowana, smutna. Nie ma dzieci.

Widuję ją często, jak stojąc u żywopłotu swojego ogrodu, patrzy na morze i śpiewa.

A w miarę jak śpiewa, twarz jej blednie, a wzrok wybiega po za linje rybaczej floty, daleko, daleko. Wzrok gorący, głodny, żarliwy.

Tęskni. Widocznem jest że tęskni, i że ją ta tęsknota zjada.

Zrazu myślałam, że tęskni za mężem. Ale mąż powracał, był w domu, palił na schodkach krótką swoją fajkę, a kobieta, obsłużywszy go, tak samo stawała u żywopłotu ogródka, i tak samo, patrząc na morze, śpiewała pieśń swoją.

Owszem, głos jej stawał się wtedy głębszym, pełniejszym, przenikliwiej smutnym, a jej beznadziejne spojrzenie biegło dalej jeszcze.

— Więc może ma kochanka i za nim tak...

Ale nasza gospodyni trzęsie i ręką i głową, nie dając mi skończyć.

— *Non, non! Oh, que non!... C'est seulement, qu'elle a le mal du lointain. Vous savez...*

Więc chora. Chora — na dalekość.

I oto nagle, odsłania się przedemną ciekawy zakąt duszy ludzkiej, oświetlony

drżącem, zielonawem światłem, odbitem od wiecznie uciekającej fali morza.

Młoda, nie mająca dzieci rybaczka tęskni. Zrazu tęskni do męża. Do takiego, jakiego ma, i jakiego widuje raz w tydzień, raz w parę tygodni, a i rzadziej nawet. Jest to uczucie proste, naturalne, i w swem najpierwszem stadyum wcale nie skomplikowane.

Ale tęsknota ma czarodziejską moc użyczania dziwnych uroków przedmiotowi swemu, tak dalece, że utęskniony staje przed oczyma duszy tęskniącej jakby nie ten sam, ale w jakiemś ogromnem przemienieniu i uduchowieniu.

Co tylko serce tęskniące ma w sobie poezyi, kwiecia, blasku, to wszystko przenosi tęsknota na oddalonego.

Aż stanie się ten oddalony czemś nietylko nieskończenie upragnionem i umiłowanem nad wszystko, ale zarazem czemś niezmiernie różnem od rzeczywistości i niedosiężenie dalekiem. Tak różnem i tak

dalekiem, że kiedy barki przybiją w przystani, a mąż stąpi na próg domu we własnej osobie, wyda się tęskniącej jakby obcym, jakby nie tym, za którym tęskniła.

...»Et puis, s'ils vous reviennent,
Les reconnaitrez — vous?«

Jakoż istotnie, jego twarz z popadaną od wiatru morskiego skórą, jego zaczerwienione bezsennością oczy, jego odzież pokryta szlamem i zalatująca tranem, jego włosy pozlepiane od słonej wilgoci, jego nieustanne plucia, jego szczeciniasty zarost, jego czarne zęby i tkwiąca w nich nieodzownie fajka, jego ciężkie, kłapiące kroki, jego żarłoczność, jego ociężałość, jego senność, i to lądowe ogłupienie, jakiemu podlegają ludzie morza, wszystko to jest niesłychanie różne od obrazu, jaki tęskniąca miała przed oczyma, śpiewając pieśń tęsknoty.

...»Or il n'a plus son âme,
Il l'a laissèe en mer«...

Odwraca tedy spojrzenie od rzeczywi-

stości i puszcza je daleko, daleko, aby patrzeć na wizyę utęsknienia swego.

Co gdy się z biegiem czasu, nietylko jako bierne zjawisko powtarza, ale owszem, potęguje w stosunku kwadratów z odległości, jako czynny, rozwijający się, mający konieczne swoje następstwa element psychiczny, — rzeczywistość, oraz idealny przedmiot utęsknienia, oddzielają się od siebie całkowicie, a kobieta tęskni nie już do rybaka, który jest jej mężem, i nie w nieobecności jego, ale przy nim, i do oderwanego obrazu swej duszy.

A tak, rozlewa się pomiędzy nimi — morze.

Ale czas idzie, a owa wywołana tęsknotą wizya, tak zrazu barwna i żywa, że aż przesłaniająca sobą rzeczywistość, zaciera się i blednie. Zupełnie, jakby szła i odchodziła morzem, coraz dalej, dalej...

W sercu prostej rybaczki nie przybywa ni blasków, ni kolorów, którymi by wyrazistość idealnego obrazu zasilać mogła.

Blednie tedy i zaciera się obraz sam, ale poczucie rozstępu między nim a rzeczywistością zostaje.

Zostaje we wrażeniu jakiejś ogromnej a mglistej przestrzeni, jakiegoś niezmiernego oddalenia, w które dusza leci, leci, a nigdy dolecieć nie może. Ku czemu leci, czego w tem oddaleniu szuka, co chce ogarnąć sobą, i przez co sama zostać ogarniętą pożąda, nie wie, nie pyta nawet.

To wie, że tam, daleko, daleko, płonie coś, kwieci się, goreje, że tam jest ukochanie jakieś, jakieś piękno, dobro, coś, czego trzeba czekać i wyglądać...

Coś, co ją ciągnie, woła, urzeka. Coś, ku czemu lecą jej oczy, jej pieśni, jej istność cała.

I tak się rodzi najniebezpieczniejsza z tęsknot, tęsknota bezprzedmiotowa, której nic ukoić nie może, a która, przy małej złożoności takiej prostej duszy, staje

się z czasem nietylko najsilniejszym, ale jedynym wyrazem tej duszy.

I oto kobieta tęskni dla samej tęsknoty. Jest nią oczarowana, opętana, urzeczona, blednie, wątleje, staje się obojętną na wszystko co ją otacza.

Jest chora.

Chora na dalekość, — jak w swojej zwięzłej, a głęboko psychologicznej dyagnozie określa Mère Toutaint. A morze odchodzi coraz dalej, dalej, a mroczna, drgająca otchłań czyni się coraz większa, coraz ogromniejsza, a huk i szum z coraz nieskończeńszych bezkresów dolata. A tam, na widnokręgu majaczy zawsze jakiś mglisty, mglisty żagiel, jakaś wizya żagla, który rozpływa się, rozwiewa, niknie i znowu pojawia na pustej, niezmiernej, tajemniczej dali, w którą leci wzrok i pieśń Ivetty.

...Or elle n'a plus son âme,
Elle est restée en mer...

VII

BARKI WRACAJĄ

Ranek wesoły, rzeźki, świeży. Pomiędzy niebem a ziemią tęczuje powietrze migotliwe, jak kryształ rozbity. Miljony świetlnych punktów palą się, drżą w niem, mrugają, nasiąknięte szafirem, różem, zielenią i jutrzennem złotem.

Zanim przeczysty lazur się ustoi, zanim naleje sobą przepastne otchłanie, powietrze barwi się rozmaicie, niespokojnie, zmiennie, całe skroś wibrujące, pełne pracy stawania się błękitem.

Osada prawie że pusta.

Ostatnie gromadki dzieci tylko co przeleciały ku tamie, z gwarem zapartych od pośpiechu głosów i z suchym tupotem drewnianych chodaków, wśród ujadania pokurciów, oszczekujących gwałtownie kamienistą drogę.

Za dziećmi, kłapiąc w saboty tkwiące na krzywych, cienkich, trzęsących się nogach, nadążają jak mogą weterany morza.

Jarząbkowe ich oczy małoco już widzą ze świata; ale gdy patrzą na morze, zdaje się, że conajmniej do Houlgate dojrzeć mogą. Ba, do Cabourg nawet! Ślepy père Plon zaklina się na Trzy Maryje, jako tylko na lądzie jest ślepy. Na morzu wszakże, widzi wszystko tak niezawodnie, »jak Boga Ojca w niebie«!

Tylko że syn wierzyć temu nie chce...

Uszy ich, ogłuchłe od huku i łoskotu fal, niewiele co słyszą na lądzie. Ale szum morza trafia jakoś do nich — przez duszę.

Teraz spieszą wszyscy spadzistą ulicą osady, potykając się, stukając kijkami, trzymając się jedni drugich, żeby nabrać w zgasłe oczy nieco światła z morza.

Idą. Z wyciągniętą, cienką szyją idą prędkim i drepcącym krokiem, zadychując się ciężko, uparcie. Co i raz to przy-

stanie który i za piersi chwyci, kaszląc srodze.

A piersi dychawiczne, zapadłe, aż świszczą wśród kaszlu pod dzianymi na drutach kaftanami, które po zgiętych grzbietach lezą gdzieści na kark, odsłaniając od dołu cały system sznurków, utrzymujących wysłużone szelki.

Idą. Instynktownie śpieszą do morza, do żywiołu siły. U podbródków wiszą im kosmyki włosów siwych; w poczerniałych zębach tkwią krótkie fajeczki. Nie mówią nic. Nawykli do długich milczeń samotnych połowów, nie czują potrzeby mówienia. Wiedzą zresztą, że słowo ich nie płaci teraz. Ani na morzu, ani w domu, nigdzie.

Idą z chciwością jakąś, z zawistną goryczą patrzeć na barki, na kosze ryb, na siecie...

Oni sami nie zarabiają już teraz nic. Jest jaka taka renta, to nią kobieta po swojej woli rządzi, skąpo wydzielając grosze na tytoń, na tabakę.

A na progach opróżnionych domostw siedzą pożółkłe prababki w białych bawełnianych, głęboko nasuniętych na czoło szlafmycach, z pod których sterczą im nad uszami i nad karkiem kępki rzadkich, wypłowiałych włosów. Kabłąkowate grzbiety chylą się ku ziemi, bezzębne usta mamroczą, głowy w szlafmycach się chwieją, a nad szlafmycami, chwieją się za ruchem głów bawełniane chwasty, opuszczone to w tył, to naprzód, to z lewego, to z prawego boku, to zgoła w górę sterczące. Wielkie, spasłe, czarnolśniące, odwykłe prawie od chodzenia koty, leżą na kolanach prababek ociężałe, spokojne, mrużąc zielone ślepia o pionowej, skrawozłotej strzałce. Inne czochają się o poobwijane szmatami, potwornie rozpuchłe nogi staruch, o piersi, o porosłe mchem szarawym brody.

Ale prababki nie zważają na to.

Wszystkie trzęsące się w szlafmycach głowy, i wszystkie mamroczące usta,

i wszystkie wpółoślepłe oczy zwrócone są pod wiatr rzeźki, świeży, niosący od przystani szum dalekiej wrzawy.

W przystani ruch, tłok, skrzęt, nawoływania setnych, pomieszanych głosów.

Barki wracają!

Wracają z wielkiego, dwutygodniowego połowu u angielskich brzegów. Najwyższy przypływ księżycowej pełni, od wczoraj pędzi je ku normandzkim wrębom.

Co żyje pcha się na tamę, pod latarnię, na cypl najbardziej wysunięty w morze. Tutaj wrzawa kobiecych głosów ma w sobie nieustający, natężony brzęk roju pszczelnego, w który gęsto wpada krzyk trzymanych u piersi niemowląt. Szczęście jeszcze od Boga, że co starsze chłopaki i dziewczyny, pobrawszy koszule w zęby brodzą u brzegu po pas, po ramiona, boby się to podusiło na tamie z kretesem.

Od tamy aż do bud rybnego targu, całe wybrzeże zawalone pustymi koszami.

Na koszach siedzą przybyli o brzasku z Paryża przekupnie, gwarząc i ćmiąc fajki.

Przekupnie udają obojętnych, zgoła nieinteresowanych w zbliżaniu się barek z towarem. Kilku grubych handlarzy obróciło się plecami do morza. Robią giełdę.

Ale w nierównych kłębach dymu z fajek, w gęstem pluciu, w latających oczach i w zimnych, przebiegłych twarzach widać nerwowy niepokój.

Niewiadomo co połów przyniesie, a towar dziś jeszcze odejść musi do Paryża i znaleźć się o brzasku w wielkich rybnych halach.

Więc co i raz wstanie który, podciągnie nerwowym ruchem pasa, i niby wytrząsając fajkę, z podełba na morze patrzy.

A morze idzie. Idzie śpieszne, szumne, drgające życiem w każdej jasnej kropli.

Przed kilkoma godzinami jeszcze, stało dalekie i zaparte w sobie. Aż nagle

dmuchnęły w nie ode dna jakieś potężne, tajemnicze płuca, i oto na całej powierzchni wszczął się ruch światła, prąd życia.

Dech bujny, oceanowy, szeroki, zakołysał je, zamarszczył, zatęczował delikatnym połyskiem perłowej masy.

Morze jest różane i liliowe razem; razem złotawe i srebrne. Jest nadewszystko świetliste i drgające blaskiem. Ruszone z głębi fale odrywają się od tego świetlistego tła, strzępią się, tężeją, dostają piór szumnych, barwnych, dostają lotu i głosu. Z wesołym pluskiem dopędza jedna drugą, prześciga i leci. Jedna drugą zalewa; jedna przez drugą skacze, jedna drugiej podaje dreszcz i huk pośpiechu. Całe morze pędzi, prze, naciera. Całe morze szumi, jak kipiąca czara. Całe morze śpiewa pieśń radości, pieśń rozkwitu, mocną pieśń siły młodej i nadziei.

Jakaś niezmierna płodność i pełnia życia, jakaś niezmierna bujność i rozlewność

życia bije z tych szumnych głębin, z których potężny przypływ dobywa i niesie co najświeższe fale. Fale tylko co zrodzone, tylko co rozkwitłe, całe jeszcze w białych puchach swojego pąkowia.

Na tamie ścisk większy coraz, wielkie dyle i podpory trzeszczą. Cała osada skupiła się w najdalszym końcu u strażniczej wieży. Wrzawa głośna, wśród powszechnego naprężenia przycichła, przeszła w niepokojący, niewyraźny pomruk. Wszystkie głowy stłoczone, wszystkie oczy na zwiady wysłane, patrzą z wytężeniem w daleką, daleką, modrą i świetlistą roztocz. A po dalekiej, dalekiej, modrej i świetlistej roztoczy mkną barki ciche a prędkie. Wiatr w miarę żywy dmucha od zachodniej strony, prężąc żagle tchem krzepkim, równym, donośnym. Żagle kwitną, złocą się, goreją, przedziwnie malowane słońcem.

Barwne łaty palą się na nich czarodziejsko kolorowym ogniem.

Tu płomienieje pas rudej czerwieni;

tam zmyta deszczami, postrzępiona szmata świeci przejrzyście bladym seledynem; ówdzie modra wypłowiała płachta wsiąka w niebieskość powietrze nieporównanie miękim i wytwornym tonem.

Szare, niebielone, wydęte ku słońcu płótna, śnieżą się, srebrnieją, różowieją jako kwiat jabłoni, zachodzą osobliwszemi światłami o zorzowych barwach. Niektóre wyglądają wprost jak płaty natężonego światła, wtopione w cichy rozblask i modrość poranka.

Tak płyną barki, to wydłużonym, łabędziowym sznurem, to po trzy, cztery, kupkami jak cyranki, rozrzucone po morzu fantastycznie, luźno, szeroko.

Jest ich 300 przeszło. Cała flotylla osady.

Już z jednych słychać głosy i okrzyki, a drugie wschodzą dopiero na horyzont delikatną wizyą smukłych swoich kształtów. Najdalsze są jak gdyby wysoko nad linją widnokrężną w powietrzu niesione. Te są jak czar i sen.

A w miarę jak barki zbliżają się, prując fale ostrym, nakuwanym dziobem i szorując w pianach szeroko odsadzonym burtem, z tamy buchają radosne wołania:

— *La Providence!*

— *L'Esparance!*

— *La Touque!...*

— *L'Admiral!..*

Bo tylko obojętne spojrzenie profana nie dostrzega indywidualnych różnic w onych statkach. Dla wpatrzonych w nie z dumą i miłością oczu, każda barka ma fizyonomię zupełnie odrębną. A nietylko fizyonomię, ale i własne chody po morzu, i własną linję masztów, i własny furkot wydętego żagla. To są wszystko żywe indywidua, o znajomych rysach.

Co do imion, te powtarzają się w miarę, jak są obiecujące lub szczęśliwe. Samych »Providence« jest w osadzie siedm, samych »Espoir« coś z dziesięć, czy więcej. Wszystkie one znaczą się porządkowemi

liczbami, jak królewskie miana. Jest »Opatrzność III« i »Opatrzność V«. Jest »Nadzieja VII« i »Nadzieja X«.

Imię barki stanowi oraz firmę handlową rybaka i przechodzi z ojca na syna. A gdy statek ulegnie rozbiciu, mały jego wizerunek z drzewa lub z tektury zawieszony bywa w kościele, jako votum, imię zaś odradza się w nowej barce rodu, i znowu całym pokoleniom służy. Do tego wszakże niezbędnym jest akt zejścia starej barki i metryka nowej.

Księgi bowiem stanu cywilnego rybaczej floty prowadzone są z wzorową ścisłością, a rodowody barek stanowią jedyne heraldyczne dokumenty osady.

Rodowe imię rybaka, związane jest nierozerwalnie z imieniem rybackiego statku. Jest to majorat, który ustanawia — morze. Dopiero kiedy ród w męzkiem pogłowiu wygaśnie, imię barki staje się dobrem bezpańskiem i każdemu wolnem. Ale i tak jest obyczaj, że ten, kto je

bierze, obdarowywa drobną kwotą, tak zwanem »poimiennem« wdowę i sieroty.

Barka po ostatnim z rodu bywa albo sprzedana, albo wchodzi przez małżeństwo w ród inny, w obu razach wszakże jako bezimienna. Dawne akty jej stanu cywilnego zamykają się, a nowy posiadacz, czy to nabędzie ją przez kupno, czy też przez małżeństwo, może jej, albo nowym aktem nadać imię poprzednio noszone, albo wybrać inne podług woli. Żaden wszakże z obu tych wypadków nie uwalnia go od opłaty metryki i stempla. Rzecz prosta, że i od oblewin także. Co na wodę ma iść nie może poczynać się na sucho.

Ale oto już barki wyciągnęły się niezmiernie długą linją, wpływając do wązkiej przystani pojedynkiem, okrzykiwane przez wyrostków, witane nieludzkim piskiem dzieci.

— *La Gentille!...*

— *La Sainte Barbe!...*

— *La France!...*

— *Le Triton!...*

Ale kiedy »le Triton« podpływał pod tamę, młoda rybaczka przechyliła się przez poręcz, podając ku niemu tęgiego, trzepoczącego się chłopaka, którego przy piersi trzymała. Natychmiast jeden z wioślarzy uczepił się dylowania tamy, wlazł po niem jak po drabinie, dziecko od matki odebrał i ojcu je podał.

Zaczem inne rybaczki też dzieci podawać zaczęły, a barki rozświegotały się cienkiemi głoskami.

Mnie wszakże zajął najwięcej »Kardynał Lavigérie«. Ten miał u masztu zużyty szmat florenckiej, terrakotowej czerwieni, która teraz płomieniała w słońcu, tak zaś był zapchany rybą i sieciami, że cała jego załoga, składająca się, jak zwykle, z właściciela statku, czterech pomocników i małego »mousse'a«, przeniosła się na wązkie, długie, u statku uwiązane czółno.

Czółno pędzili wiosłami pomocnicy, młodzi, gibcy, prości, przeginając się w swoich

Leonard Brokl
Kijów.

trykotowych bawełnianych koszulach, pełnym klasycznego rytmu ruchem, obliczonym na popis przed galeryą z tamy. Jakoż pochlebny szmer uznania towarzyszy popisowi temu.

»Le Patron«, zawiędły, suchożyły i do pasa nagi, obróciwszy ku przystani plecy lśniące jak miedź polerowana, siedzi na burcie zgarbiony, niedbały, kurząc fajkę, plując w morze, i okazując najdoskonalszą obojętność dla kupiących się u brzegu handlarzy.

On też robi giełdę.

Głowę ma obnażoną, włosy tęgo ujęte w przygarść od karku i czoła, na czubku czaszki czerwoną tasiemką związane, sterczą zuchwałą kitą w samo słońce, wykończając sylwetkę całości z jakimś niespodzianym i butnym rozmachem. Jestto niezawodnie najoryginalniejsza postać, jaką na tem wybrzeżu widziałam.

Ale już potężny przypływ wpędza Kardynała w samą gardziel portu; ognista

czerwień żagla rozdętego nad chwiejącym się kadłubem statku zapłomienia wody; salwa okrzyków się wzmaga, a dwie te udane obojętności — Patrona ze sterczącą kitą włosów, i handlarzy — mocują się z sobą. Uważne wszakże oko teraz już spostrzedz może, iż rybak będzie górą. Jakoż nie odwrócił ani razu głowy do przystani i nie sprostował nagich, lśniących, niedbale zgarbionych pleców; kupcy zaś, choć siedzą jeszcze na koszach, powypuszczali z gąb fajki, wyciągnęli szyje, oczy się im zaokrągliły, rozdęły nozdrza na świeży, rybi duch, niektórzy wprost trzymają się oburącz koszów, żeby przedwczesnem zerwaniem nie okazać żądzy i targu nie zepsuć sobie.

Wreszcie — nie wytrzymali.

Podniósł się jeden, poprawił trzosa, chrząknął, za nim drugi, trzeci, dziesiąty, i zaledwie dziób barki, stuknął o pale, a łańcuch kotwiczny zazgrzytał, runęli na Lavigérie jak sępy, nakrywając go

wrzawą i czarnością swoją. Wtedy dopiero »le Patron« powstał, rozprostował atletyczną postać, i nie patrząc na tę czarniawę mrowiącą mu się na pokładzie statku, wydał krótkie rozkazy załodze.

Natychmiast ustawieni sznurem pomocnicy jęli sobie podawać płaskie pełne ryby kosze z niezmierną chyżością i wprawą. Daremnie kupcy chcą powstrzymać wyładunek słowami i gestem. Daremnie rzucają się na kosze, targając je ku sobie. Pomocnicy czynią rzecz swoją tak, jakby kupców nie tylko na pokładzie, ale zgoła na świecie nie było.

Kupić na statku, jest zyskiem handlarza; przedać na targowisku jest zyskiem rybaka. Śmigają tedy kosze w powietrzu niemal z rąk do rąk rzucane, kupcy drą się i pocą, a »Le Patron« obojętnie dobywa z zamszowych spodni kredę i towar rozlicza. Aż skoczy do niego w czółno kilku najgorętszych.

Porozumiewanie się ich jest tak burzli-

we, że wygląda na awanturę; gesty tak gwałtowne, że wyglądają na bijatykę. Uderzyli wreszcie w dłonie. »Le Patron« z chytrym błyskiem swych normandzkich oczu, kupcy drapiąc się po załebkach i skwaszeni jakby.

Słona będzie ryba nocy tej w Paryżu!

VIII

NA WYBRZEŻU

Ścisk, tumult, krzyk, obwoływanie ceny i towaru.

Ociekający wodą pomocnicy wyładowali już co podlejszy towar; całe zasieki wałkowatych ciał psów morskich, które się z koszów jak wrzeciona toczą, i czarniawej, szeroko rozpłaszczonej Hai.

Te będą sprzedawane z »ławki« i na wagę. Cała ludność osady tem żyje, a co zbywa, suszy się na wietrze, na słońcu, i rozsyła dalej.

Gdzieniegdzie Haja, u której ciemnego, w obszerny płaszcz rozszerzonego grzbietu wisi śmiesznie cienki ogon, do ogona prosięcia podobny, przewrócona na wznak, ukazuje dziwaczną i smutną twarz swoją.

Bo jest to naprawdę twarz, ludzka nie-

mal, z wyrazem niewymownej i bezradnej troski.

Na biało-cielistej skórze dobitnie zaznaczone oczy, nos, usta z grubą, odętą wargą dolną i kilkoma poprzecznemi zmarszczkami zarysowane czoło, przedstawiają fizyonomię trochę bezprzytomną jakby i w kwaśnym humorze, ale przedewszystkiem głęboko zafrasowaną, strapioną.

Zapomnieć tego niepodobna, tak ostro odbija się w pamięci ta dziwna twarz, ze swoją bladością, swoją szkicowością ulotną a jednak ogromnie wnikliwą, ze swoim bezradnym, śmiesznym, a przecież wstrząsającym patosem rybim. Jest w tem wszystkiem melancholja nie do opisania.

Ale główny, dobyty z pod pokładów towar, ożywia nagle te ciemne, jednostajne masy, i rzuca na ich szarawość świetne, wesołe i jaskrawe, różnobarwne nuty.

Wielkie, płaskie, okrągłe o dwóch uchach kosze czerwienią się od smakowitych »Rouge'onów«, których przedziwnie

stonowana łuska przechodzi od bladego różu podbrzusza, do ciemnej purpury u grzbietowej skrzeli; srebrzą się od »płaskunów«; pstrzą, mienią od zielonkawych i modrych, żywą ochrą i karminem centkowanych makreli; roją od gliniastych, mrowiących się krewetek, od czarnomalachitowych węgorzy, od śniadych, rozedrganych minogów i wijunów morskich, na stosach których, tu i owdzie, rozciąga się ważny i ogromny homar, próbując wolnym ruchem siły swoich nożyc. Towar szlachetny pierwszorzędnej wartości i ceny. Handlarze i rybacy stłoczyli się około koszów w tęgo zwarte kupy. Setna wrzawa tam bucha, jak kipiątek z kotła. Głównem przecież ogniskiem wrzawy tej są asystujące sprzedaży wyrostki.

Ci, natychmiast po wyładowaniu koszów, za którymi to i owo zawsze się da chwycić, dzielą się na dwa obozy, z których jeden staje po stronie kupca, a drugi po stronie rybaka, i wtedy to, po każdem

niemal słowie targu, wybucha szalony rejwach to w jednym, to w drugim obozie, a pełne oburzenia »*Oh!... Oh!... Oh là là!*« — odgrywają rolę starogreckiego chóru w tym dramacie.

Co wszakże jest do zauważenia, to, że większość, owszem, zupełnie zdecydowana przewaga głosów stoi po stronie kupców i w ich interesie chrypnie.

Tu bowiem skapnąć może grosz jaki, to za oburzenie na wysokie ceny, to za pomoc przy noszeniu zakupionego towaru, to ot tak, odczepnego; podczas gdy ze strony przeciwnej conajwyżej spadnie ochłap ryby, który i bez tego chwycić można w ciżbie.

Szelmowskie jednak miny i mrugania świadczą, że ów wallenrodyzm podjęty jest w wspólnym interesie osady. Jakoż, rzadki ten dzieciuch, któryby kupiwszy sobie papierosa, lub jaskrawo malowany cukierek, nie oddał jeszcze paru susów matce. Ci też giełdę robią.

Co do rybaka, ten rzuca skąpe słowo, ćmi fajkę, puszcza kłęby dymu, pluje i milczy.

Milczenie to denerwujące kupców w sposób wprost nieznośny, gorsze jest prawie niż wysoka cena. Zapowiada bowiem długą jeszcze walkę, a tu na stacyi zaczynają już składać i szybować wielki, rybny pociąg.

Ale i obecność kobiety niemało targ przedłuża.

Ta wprawdzie nie mówi nic, gdyż nie jestto w obyczaju tutejszym przyjęte, ale ma szczególne, sobie tylko właściwe i do każdej sytuacyi odpowiednio stosowane westchnienia, chrząkania, pociągania nosem, które są zbyt wyraźną grą na »hausse« lub »baisse«, żeby się kupcy mieli nie znać na tem.

Tedy co niecierpliwszy, a politycznie jszy, z góry jakiego franka albo i dwa rzuca »pour Madame«, że niby przyszła mężowi pomagać, a w rzeczy, żeby ją licho gdzieindziej poniosło.

Kobieta przestaje wówczas chrząkać i wzdychać, ale jednak stoi; A już tem samem, że stoi, targ na sobie trzyma.

Rybak możeby się i prędzej użyć dał; on tak się tych ryb opatrzył, że je mierzi sobie. Przytem do domu, do czystej koszuli, do świeżej strawy by rad. A tymczasem żona co i raz to go za kurtę targnie.

Jakże! Wie ona dobrze, co wyprawa pochłania gotowego grosza.

— Czworo wyżyłoby za to przez ten czas w domu — objaśnia mnie Mère Toutaint.

Stary nie ruszy się na duże morze bez tęgiego połcia schabu, bez metrowej kiełbasy z czosnkiem, bez białego chleba, bez cydru, bez sera. I nie bylejakiego sera, ale z Pont-Eveque! I to wszystkiego dużo, a nie mało! Wraca, to kurę, żeby i za dwa franki na rosół mu rżnij, a ryby, choćby też na ruszcie pieczonej i smarowanej słoniną do gęby nie weźmie.

A potem pomocnicy!

Pomocnicy we czterech połowę zysku biorą. Czy to mało jest?

A renta? Na rentę jeżeli się z każdej wyprawy nie odłoży grosza, to człowiek nie ma o czem śmierci czekać po najdłuższem życiu. Życie zaś rybaka jest krótkie. Jakieś czterdzieści lat starczy morzu, żeby z tęgiego chłopa szmat zrobić.

Ale tęgich chłopów prawie że i niema. Skąd ich brać? Ledwie chłopak dwanaście lat skończy, i miałby właśnie w conajlepsze rość, kiedy go morze zabiera i trzyma — do zdarcia.

— To czemuż puszczacie?

— Albo by to matka dała radę chłopcu po dwunastym, gdyby jej nie pomagało morze? Takiemu dryblasowi?

Mère Toutaint wzdycha:

— Niema tu u nas z chłopaków pociechy, nie!

Ma synów samych.

— Jak dziewczęcia w domu brak, to

ani zabawy, ani śmiechu, ani kwiatów, ani lalek, nic. Żadnej radości.

— Nasz Karol od trzech lat pomaga ojcu na morzu. Składać nawet zaczął co nieco. A ja, co z niego mam?

Ledwo w próg, jużci krzyczy: »Mamo, umyj!« Ledwo go odszoruję z tego brudu, mułu, że i trzy wody mało, to znów krzyczy: »Mamo wyczesz!« Drab taki... I zaraz co najlepszego ma, to na grzbiet, i do miasteczka, że niby strzydz chce się.

Wróci, to jeszcze drzwi nie zamknął, już woła: »Mamo, zgotuj co dobrego! Co słodkiego! Czekolady! Kawy!« Taki mądrala!

— *Alors je prends mon chicorèe...*

Biedny Karol!

Ale stara, wpół ślepa Gudula sieciarka, uśmiecha się na to i melancholicznie kiwa zwiędłą głową.

...Zna ona to wszystko, zna... To wszystko przeszło już dla niej. Jednego jedynego miała... Marynarza... Pietruś mu było...

Pomarł z febry na statku, okręcie, na dalekiem morzu...

Do kancelaryi ją wołali, pan Mer pismo czytał... Dawno! Jeszcze wtedy nie była głucha. Dobry syn! Jedynak! Jak ta dusza w ciele!... Zlecił na nią pięć franków na każdziutki kwartał. Na pogrzeb to składa... Dobry syn!

...A morze szumi, a szumi, a mewy krzyczą, a krzyczą...

A jego nieboraka, deska śmiertelna kołacze o cmentarne wrota... Przypomina...

Tyle lat... Pietruś mu było!

...Wieje wiatr ode wschodu słońca — to deska kołacze... Wieje od zachodu — też kołacze, skrzypi...

A morze huczy, a szumi...

A mewy...

...Zna ona to wszystko, zna...

Wszystko to przeszło dla niej!...

. . . . . .

Tymczasem rybny pociąg rusza ku Pa-

ryżowi zwolna, targowisko opróżnia się, rybacy wracają do domów.

Prawda! Oprócz wioślarzy z »Lavigerie«, którzy tu z wiosek, z głębi kraju przyszli, wszyscy są niedorodni jacyś, jacyś pokrzywieni, zużyci. Grzbiet pochyły, kabłąkowate nogi, pierś wązka, cienkie długie ręce, a dopieroż na tym niezbyt udatnym kadłubie siedzi głowa ciężka, krótko strzyżona, czarniawa, z twarzą, po której, jak rok długi wichry morskie chodzą, oksydując ją na miedź i na bronz.

Twarzy tych prawie niepodobna odróżnić między sobą zrazu. »Père Drugeon« tak samo wygląda jak »père Miard«, a »père Miard« niczem się nie różni od »père Omé«.

Trzeba ich dłużej znać i widywać często, żeby się w tych jednostajnie kwadratowych, z gruba ciosanych twarzach połapać jakoś, dopatrzeć rysów indywidualnych.

Co je upodobnia najwięcej, to jedna dla wszystkich moda noszenia zarostu.

Moda ma tu, rzecz prosta, oznaczać nie to, co się raz wraz zmienia, lecz to, co właśnie trwa nienaruszenie od dziadów, pradziadów, i nigdy żadnej nie ulega zmianie. Jakoż wszyscy tu rybacy golą starannie wąsy, a z obu stron dolnej szczęki zapuszczają dwie silne kępy dość krótko, równo przystrzyganych włosów, co im nadaje jakowyś osobliwszy, koźli i faunowski wyraz, do najwyższego stopnia sprzeczny z ich tępem i dobrodusznem spojrzeniem. Zdarza się wszakże, iż kępy te, bez których wogóle niepodobna pomyśleć typowej twarzy normandzkiego rybaka, łączą się i przechodzą w pełną, po dolną wargę sięgającą, w równy kwadrat ściętą brodę.

Elegant, który taki zarost nosi, wygląda z pewnego oddalenia, jakgdyby dolną szczękę w sztywny czarny futerał aż po usta wpuścił, co przy starannie wygolo-

nych wąsach, dziwaczny charakter fizjonomii daje. Tacy trafiają się wszakże tylko w pośród młodszych.

Ale weterani, którzy już z morzem skończyli rachunki i na łaskawy chleb do matki-ziemi poszli, ci golą całą brodę i dopiero u podgardla wypuszczają frendzlę żółtawych, martwych, wypłowiałych włosów.

Ot, jak ta kupka starych, co na boku stoi, barkom się przygląda podnosząc brwi siwe, mruczy i kręci drżącemi głowami, że niby za ich czasów... ho, ho!...

Co tu i mówić nawet!...

I zapalczywie pykają z fajeczek weterany stare i zadumują się, i na morze patrzą. Ale morze gwałtowne, zwycięzkie, zdobywcze, strojne w pióropusze silnej, młodej fali, odtrąca natężonym blaskiem i bojowym ruchem ich oczy mętne, struchlałe. Powieki drżą opuszczają się, mrugają szybciej coraz. — Pierś dotrzymać nie może oddechem natarciu potężnych

kłębów żywego, z oceanowych roztoczy pędzonego porannym wiatrem powietrza. Dyszą silnie, pracowicie, ale wydychać tego nadmiaru życia i świeżości nie mogą. Coś ich kłuje w oczy, coś im dech zapiera, coś ściska serca drżące.

Nie, to nie ich morze!

Zbyt huczne ono, zbyt natarczywe, zbyt mocne. To morze — młodych!

Ich morze, to dawne, było całkiem inne. Łatwo je było wiosłu pod pióra brać, łatwo i sieci przez oka przepuszczać. Barka polatywała tylko jak ten ptak po wietrzem... Ho! ho! — Jakie to wtedy były wyprawy! Ho! ho! Jakie połowy i targi. Niechby się przypatrzyli ci tam... młodzi!

Ale teraz — morze się zmieniło. Inne jest. Zupełnie inne...

Wzdychają, kulą głowy między ostro sterczące ramiona, i z jakąś mgłą w zmrużonych oczach zawracają ku kamienistej drodze, którą przyszli.

Gorzki smak mają w ustach, słoność ciężką w piersiach. Drepcą zgarbieni, zniechęceni, rozczarowani, o wiele bardziej zgrzybiali, niż kiedy schodzili tu rankiem. Nie oglądają się; fajki im pogasły. Maszerują znojnie we dwoje prawie zgięci, zadychując się częściej, uporniej. Dopieroż kiedy u szczytu drogi na równi staną, a wytchną, obejrzą się, a tu morze — Trzy Marye!...

Ogromne, ukojone; lekko falujące, a takie jasne, takie łaskawe, takie dobre, dobre... Takie — ich!

Są teraz w tem oddaleniu, że tylko miękka, nieobjęta wzrokiem świetlista modrość jest im widna.

Co trudem, co łamaniem się i mocowaniem fal, co bojem ich, gwałtem i zwycięztwem, wszystko to znikło dla ich starych oczu.

Więc się uśmiechną i zapatrzą błogo.

— Nie, nie!... Morze jest to samo! To

samo! Własne ich, dawne, drogie morze! Morze ich młodości...

Wieczne ono, wieczne, jak Bóg Ojciec w niebie!

Głębokie westchnienia ulgę im przynoszą. Stają szczęśliwi, rozrzewnieni, wdzięczni, pełni w sobie jakiegoś cichego rozradowania, tryumfalni niemal.

— Eh, eh! Młodzi!... Wielka parada! Wszyscy byli młodzi! Wiadome rzeczy. Puszy to, dmie, rządzi... Oniby i morze przerobić podług siebie chcieli! — Ale gdzie to?... Komu?... Jak?...

I wyciągają się cienkie szyje ze skulonych ramion, i trzęsą się głowy struchlałe, z jakąś przedziwnie naiwną, dziecięcą niemal litością dla owych »młodych«, i podnoszą się brwi wypełzłe jakiemś mruganiem filuternem, chytrem.

Coś z tej przeogromnej świetlistości, w którą patrzą, chodzi po ich zwiędłych twarzach jasnemi łunami...

Zaczem zapalą pogasłe fajeczki i uspo-

kojeni, pokrzepieni na duszy, bezpieczni, iż odnaleźli swoje dawne morze, powracają weterany do ubogich siedzib, aby znów dumać a dumać o niem, i tęsknić, a tęsknić.

IX

O ZMIERZCHU

Czy to przypadek, czy rachuba — nie wiem, ale na drugi dzień po powrocie z wielkiego połowu przypada zawsze odpust, albo jarmark.

Czasem i jedno i drugie.

Jeżeli nie w Dives, to w Beuzeval; jeżeli nie w Beuzeval, to w Houlgate; jeżeli nie w Houlgate, to w La Touque, jeżeli nie w La Touque, to w Villers.

Zaraz po płotach czerwone afisze, zaraz osły z dzwonkami, zaraz tasy i chińskie latarki, zaraz sążniste, malowane świece, zaraz procesye brackie, zaraz pieczeń wieprzowa na obiad.

Ledwo miną nieszpory, cała nasycona i wystrojona ludność wylega na główne ulice osady. Odrazu się robi tłumno

i świąteczno. Prym w tłoczeniu się i rozpychaniu łokciami trzymają, rzecz prosta, »mousse'y«, coś w rodzaju chłopców okrętowych, przystosowanych do rybackich statków.

Pomyte to, poczesane, ćmiące papierosy, i w zuchwałych, nieustępnych bandach zawalające sam środek ulicy.

Wilczęta morskie, które starych wilczurów udają, klną, plują, i na pędraków nie mających jeszcze nic wspólnego z morzem prócz łażenia po niem za skójkami, z najwyższą pychą i pogardą patrzą. Nie przeszkadza im to handlować po zaułkach z tymi pędrakami na koziki, paski, nawet czapki, który to handel nierzadko zakończony bywa gwałtowną bijatyką, ku pohańbieniu, guzom i siniakom »mousse'ów«. Pędraki bowiem, acz młodsze, liczniejsze przecież są i do większej obrotności w bitce lądowej sposobne. Jakoż dziewięć dziesiątych życia schodzi im na wprawie w kuksańce.

Zwyciężone »mousse'y« nie tracą jednak miny i fantazyi; owszem, tembardziej nadąwszy się w sobie, z większą jeszcze butą »trzymają bandę«, oganianą zwykle przez lizuniów z przeciwnego obozu, którzy tu zysk w postaci niedopałków wietrzą.

Ale mousse'y patrzą wyniośle nietylko na »pędraki«. Z większą jeszcze, choć pozorną wzgardą traktują dorastające i całkiem dorosłe dziewczęta, nie mówiąc o nich inaczej jak: *ces mioches là*, co im nie przeszkadza czerwienieć i potnieć gwałtownie przy każdem tych »mioches« spotkaniu.

A one, dziewczęta, chodzą po ulicy jakby kwietna grzęda, w jedwabnych chusteczkach skrzyżowanych na barwnych stanikach, trzymające się za ręce, po cztery, po pięć, po siedm, że drogę grodzą sobą, rozszeptane, rozchichotane, niewidzące zgoła małych głupich... »mousse'ów«, całe zajęte rzucaniem zaczepnych i lękli-

wych spojrzeń z pod ciemnych albo rudych rzęsów w stronę dorosłej rybackiej młodzieży.

Dziewczęta są niezgrabne i niepewne w ruchu; chodzą jakby nie na swoich nogach, potykając się jak na grudzie, szturchając łokciami, wybuchając nienaturalnym śmiechem, piskliwym świegotem i ogniem rumieńców.

Tymczasem młodzież, na której intencyę palą się rumieńce owe, zdążyła już przebrać się po miejsku, i z kwiatkiem w zębach, w kapeluszach na bakier, w bajecznych krawatach, przechadza się małemi grupami, rozdyndana, roztanfarowana, zalotna, gotowa do fundy dla dam i z góry zwycięzka.

Cóż! Każdy prawie zna świat od Hawru do Cherbourga, a są co i w Paryżu bywali.

A dzień zapada cicho, pomglisto, i czyni sobą dla ludzi i rzeczy tło niezmiernie spokojne i wdzięczne. Szaroperłowe, tro-

chę zmatowane niebo, nie przestaje być pogodnem niebem.

Lekkie, dwukolne wózki krzyżują się z przechodniami, wioząc publikę z dalszych osad na zapowiedziane wielkie fajerwerki. Ale do fajerwerków dość daleko jeszcze. Ta blada jasność powietrza, przez którą prześwietlają jakieś srebrne głębie, jest jedną z najupartszych jasności nad morzem.

Chodzą tedy wszyscy wzdłuż wybrzeża, gdzie ustawiono Budy od starej tamy aż do Roches Noires.

Jest patrzeć na co.

Buda to razem i widowisko i jarmark i hazard. Coś podniecającego, coś, czego właśnie trzeba wracającym z wielkich milczeń i wielkich samot oceanowych bezkresów.

Karuzele, pajace, chuśtawki, kuglarze, tombole, kręcące się z kuszącym warkiem ruletki, holenderskie »tupje«, belgijskie »koniki«, pozłociste łódki, kata-

rynki, trąby, bębny, wymalowane panny w szychach i trykotach, króliki strzelające ze sztucerów, małpy, papugi, wszystko, co tylko grosz z mieszka wyprowadzić może.

Wielka wyprawa nie trafia się codzień. A potem coby ludzie z pieniędzmi robili?

Po za budami tasy, owe to wązkie, pod przydaszkiem z płótna stragany, pełne pierników, orzechów, pękających z trzaskiem cukierków, suszonych owoców, pomarańcz. Oblężone to przez muchy i dzieci, oganiane, rozrywane, w ciągłem niebezpieczeństwie zwalenia się z misternie ułożonych stosów.

Ale i po drugiej stronie ulicy są piękne widoki.

Tam na długich żerdziach powiewają brunatne kaftany, spódnice »na trzy szwy«, co tu jest ostatnią, od wielkiej rewolucyi panującą modą, pończochy czerwone, chustki, fartuchy. Tam stoją kosze sabotów, kapeluszy, szlafmyc, i białych normandzkich czepeczków, tych »au vent« — zdecydowanie

zalotnych i tych »bas fand« skromniejszych, cnotliwych i prawie »dobrze noszonych«.

Przed urządzoną ad hoc kawiarnią kapela »paryzka« z Dives (na jarmarku wszystko jest paryzkie) rznie smykami z nieprawdopodobnym zgrzytem i trąbi wprost apoplektycznie.

Tu się gromadzi elita osady, właściciele barek z żonami. Rozmowy są stateczne, ważne, umiarkowanym prowadzone głosem. Zdania wypowiadane są w dużych, kłębami fajczanego dymu wypełnionych odstępach czasu. Nikt tu nikogo nie chwyta z nienacka w tok płochego słowa. Każdy, nim co powie, namyślić się może. Może się nawet rozmyślić i nic nie powiedzieć. »Milczący towarzysz jest dobrym towarzyszem«, mówi się w Normandyi. Stąd bardzo często usłyszeć tu można:

— »Cóżeście mówili?

— Niceśmy nie mówili«.

A jestto dosłowna prawda. Potrzebom towarzyskim mężczyzn zupełnie

wystarcza wypalenie fajki u tego, lub owego sąsiada, w zupełnem milczeniu, którego nie przerywa, ni gość ni gospodarz, od powitania aż do pożegnania. Ale dziś ludzie mówią. Są podnieceni. Każdy w kieszeni czuje przypływ grosza, a to się na tym brzegu tak liczy, jak przypływ krwi w żyłach. Zresztą jest święto. Święto polega na zrzucaniu z karku codzienności życia, od koszuli aż do psychologii. Jakoż mężczyźni mają na sobie granatowe lub brązowe, na drutach nadziane barwne kaftany, a kobiety w czarnych jedwabnych sukniach i takichże wielkich fartuchach, biorą przystojny udział w rozmowie, z szczególną żywością brzęcząc długiemi kolczykami, gdy się jedna do drugiej przychyli i o trzeciej na ucho jej szepce, przyczem ciężki placek, z twarogiem znika pospiesznie z talerzy malowanych w kwiaty, a niepokojąco bura kawa ma odbyt szeroki.

Tuż za kawiarnią teatr Marjonetek.

Mrowią się przed nim najmłodsze pociechy osady, choć i prababek w szlafmycach też nie brak. Pisk tam nieludzki zgoła, gdyż Poliszynel tylko co pokonał Djabła, który z wywieszonym szkarłatnym ozorem, przerzucony przez rampę wpół ciała, opuścił rogi i zdycha zupełnie sflaczały.

Ale wśród starszej młodzieży uwija się Włoch z niewielką, grającą skrzynką, która wśród girlandy czerwonych i białych róż ma pozłocisty napis: »Fortuna d'amore«. Arja z Trawiaty trzęsie się i jęczy w wnętrznościach tej niewielkiej skrzynki, a mały, zbiedzony ptaszek wyciąga z kręcącego się u jej wierzchu koła karteczki z przygodnemi imionami dziewcząt, tudzież kabalistyczną radą, jak się do której brać.

Nietylko »mousse'y«, ale najmłodsze »pędraki«, cisną się do skrzynki i każą sobie na miłość horoskopy stawiać. Rzadko nawet który zadawala się jednym. Biorą

po dwie kartki, po trzy, a nie ma grosza, to wyrwie taki niecnota kartkę ubogiemu ptakowi z dzioba i zmyka bijąc się po udach z uciechy. Zaczem czytają kartki głośno całą kupą, a przeczytane ciskają o ziem i lecą gdzieindziej. Choć między »mousse'ami« nierzadka bijatyka wybucha, gdy się porozumieć nie mogą, jakowa panna się któremu znaczy.

Dla dziewcząt wszakże drugi włoch obnosi inną skrzynkę, na której wieku elegant w żółtym fraku podkręca wąsa i do tańca staje.

Ptaszątko marniejsze tu jeszcze, ostatkiem pierza goniące, siną brzuszynę ma już całkiem nagą. Pracuje wszakże jak wół, z desperacką zaciętością wyszarpując kartki z kręcącego się w takt marszu z Aidy wiatraczka.

Na kartkach imiona kawalerów, jak alfabet długi, a także sposoby, — nietyle na miłość, bo to i same dziewczęta potrafią, ile — na ożenek.

Małych dzierlatek nie widać tu wcale. Za poważne są na to, za praktyczne, za mądre.

Co do starszych, do tych kwitnących »mioches«, co to grzędą chodzą, te podśmiewają się wprawdzie, wzruszają ramionami, patrzą w inną stronę, ale co i raz, to która po kartkę sięga, pilno ją na osobności czyta, czerwieni się, i przeczytaną pospiesznie za stanik chowa.

Tymczasem świat modrzeje lekkim, chłodnym zmierzchem, a morze staje się jasnem i mrocznem zarazem.

Bardzo przejrzyste, bardzo giętkie, równe, podbite nocą, a skupiające na sobie ulotną dnia bladość, lśni razem i czernieje, razem widne jest i ciemne, mieniąc się od ostatnich krawędzi nieba aż do ostatnich przepaści, jak czarny kryształ o srebrnych załamach.

Ale na horyzoncie trwa jeszcze chwilę wązka, świetląca perłowym matem smuga tam, gdzie słońce, na długo przed zacho-

dem wtopiło się w pomglistą obłoczność nieba, lekką, przejrzystą, bezpromienną hostyą.

Cały cypel Hawru, podebrany od strony morza cichem smugi tej jaśnieniem, rysuje się mocno, zamczysto, urwiście, z nadzwyczajną precyzyą rzeczy dalekich, które naraz zaczynają jakby iść, bliżyć się, następować niemal. Zmierzch — to jest, siłacz wielki i czarodziej, który oboma ramionami świat garnie, żeby zaś łatwiej go nakrył szarą, szarą płachtą.

I nagle, w cały rozgwar bujnego życia i młodej radości zaczyna bić dzwon za tonących.

Zwolna bije, posępnie, głęboko.

Uderza trzy razy — i milknie.

I znowu trzy — i znowu milknie. Muzyka urywa w pół taktu, grajki, kataryniarze, komedyanty, dyabły odkrywają głowy; rybacy powyjmowali z gąb fajki; kobiety w czarnych swoich sukniach i wielkich kolczykach stoją ze splecionemi rę-

kami, hieratyczne, sztywne, młodzież poklękła gdzie kto stał, czy szedł, libertyńskie »mousse'y« i pędraki biją się żarliwie w piersi.

Szept modlitewny polatuje nad schylone głowy, a z szeptem łączy się daleki, głęboki huk morza, które nagle zagadało w ciszy. Zmierzch rośnie. Huk morza i jęk dzwonu przepierają się, plączą, mocują, szamocą.

...Stara wieża prawo łaski ma. Stare, dobre prawo, przez starych, dobrych królów jej nadane. Przez królów, którzy nosili korony z żelaza, a srebro topili w dzwony.

Ale morze ma prawo zagłady. Daleko starsze, dużo lepsze prawo. Prawo żywiołu. Stare jak świat, niepamiętne w śmiertelnej swej dawności prawo, z onych przedczasów jeszcze, kiedy Duch unosił się nad wodami, sam sobie król, i sam sobie włada.

Codnia o zmroku jęczy tak wieża, stara wieża »Du bon secour«, i codnia huczy

morze. Rozejmu w tem niema, niema armistycyi od wieku do wieku.

I targa życiem dzwon w swoją, morze w swoją stronę.

A moc morza w tem, że ma sojusz z śmiercią. Moc dzwonu zasię w tem, że ma serce, a w sercu nadzieję.

Powiadają tutaj, że zakonnicy trzy razy tylko na trzy »ave« dzwonią.

Ale gdy burza się rozmiota, dzwon sam z siebie zaczyna w nocy bić.

Ludzie wtedy mówią, że święty Jan dzwoni. Jan święty, który jest od rzeczy ostatecznych i całkiem zgubionych. Więc wstają z pościeli, modlą się, zapalają światła. Są wszakże, którzy utrzymują, że to poprostu »Matka utopionych«.

Matce tej, po utonięciu trzech naraz synów, w głowie się popsuło. Siadywała tedy długie lata przy onej wieży, gadając z tymi topielcami swymi, którzy do niej z zmierzchów wyciągali ręce, a teraz, gdy wichry hukną i uderzą fale, w grobie uleżeć nie

może, wstaje z trumny, na wieżę idzie i za sznury targa.

— Ale ja tam ani tego, ani tego nie widziałem — dodaje »pere Miard« z realnym zmysłem swej normandzkiej głowy.

Właśnie dzwon umilkł, tłum zamrowił się, powstał, kiedy na starej tamie rozbłysła latarnia morska odpowiadając mocnem, rzeźkiem światłem, dalekim, przerywanym ogniom u angielskich brzegów.

Uczyniło się gwarno, wesoło. Modlitwa za konających dolała w pierś żywych jakby wrzątku życia.

Zachrzęściały czarne jedwabie, fajki buchnęły dymem, młodzież się zmieszała, stłoczyła, chłopcy zaczęli panny łokciami w bok trącać i zblizka zaglądać im w oczy, gdy wtem, stary samopał z placyku przed merostwem na wiwat huknął, a powietrze drgnęło nutą Marsylianki. Był to znak, że ogniomistrz gotów.

Jakoż natychmiast rozjarzyła się nad nami skrawym blaskiem wielka borealna

zorza, z której wrębów zaczęły setne race w niebo szyć, z trzaskiem w kolory pękać i cicho osypywać się w morze bukietami irysów, róż, i złotokwiecia.

Tłum pogarnął się teraz jedną falą w stronę, skąd ognie puszczano. Ognie zaś puszczano z wielkiego gabaru, który cicho o zmierzchu z Cherbourga przypłynął, a teraz grzmiał cały, gorzał i wyrzucał z siebie gwiazdy, słońca, tęcze, płomienie, smoki i fontanny ognia, trzymając wszystkie oczy na powietrzu, wszystkie usta otwarte zachwytem, wszystkie serca w zupełnem oczarowaniu. Huragan okrzyków, oklasków witał każdą zmianę. Pędraki i »mousse'y« miotały się wrzeszcząc jak szalone. Dziewczęta, ogłupiałe do szczętu, zbiły się owczą kupą i trwały w niemej ekstazie.

Starzy rybacy z zadartą wysoko głową, stali na szeroko rozstawionych nogach, jak w ziemię wkopani, a choć fajki pogasły, nikt nie dbał.

Wtem od zachodu uderzył mały wiatr i postrzępił morze w drobne, ciemne, niespokojne rzuty.

Niebo się zaciąga, pochmurza, wiatr rośnie, wzmaga się, tężeje, zatacza tu, to tam, jakby szukał drogi. Wpadł wreszcie na prąd i zatargał morzem. Fale zaczęły bić twardym, mocnym rytmem, wypychając z przepaści coraz grubsze mroki. Wielka pulsacya Nieskończoności.

Wielkie velum Nocy.

A tam u »Roches Noires», w najbardziej zatraconym w czarności skał punkcie, samotna łódź wpracowywa się w morze, przeciw wiatru. Widzę ją zrazu jak cień, potem jak widmo cienia. Nagle błysk. Ogromne elektryczne słońce zalewa niebo i ziemię skrawem białem światłem. W świetle tem, spostrzegam stojącą w łodzi atletyczną postać samotnego wioślarza, któremu nad obnażoną głową sterczy okiść związanych u czuba czaszki włosów.

X

„A CAPELLA“

Noc nad morzem nie bywa spokojną nocą. Niby spisz, niby czuwasz, a przez mózg przelewają ci się szerokie fale szumów i kolorów, a pod powiekami masz pełno drgającego światła, a w uszach organ i symfonje jęku.

Powietrze, którem oddychasz, jest rozkołysane jakby, posłanie twoje — jakby falujące. Nie możesz się odjąć wrażeniom ruchu, unoszącego cię i porywającego z sobą, Niema tu tego ukojenia, jakie przynoszą z sobą ciche noce na głębokim lądzie; niema tego poufałego, ufnego oddania się spoczynkowi. Na głębokim lądzie, na rozległych, polnych przestrzeniach czujesz, że noc nietylko tobie sen i zapomnienie przynosi. Czujesz, że wy-

poczywa wszystko dokoła ciebie, że świat objęły, utuliły, jakieś miłosierne skrzydła. Życie pracuje tam tak cicho przy warsztacie swoim, iż masz wrażenie, że warsztat ten zatrzymany został, że koła jego i tryby stanęły, i że do dnia brzasku nic się nie dzieje, nie staje.

I właśnie to wrażenie przerwy w męce i pracy stawania się, życia, tak w sobie, jak i dokoła siebie, jest najgłębszą istotą wypoczynku duszy.

Ale noc nad morzem takiego wrażenia nie daje. Przedewszystkiem nie przerywa ruchu, nie zawściąga pozornie nawet wielkiej pracy życia. I nietylko nie przestaje się dokoła siebie coś dziać, coś stawać, ale owszem, akty tego stawania się, nabierają tu dziwnej intensywności i mocy. Są poprostu gwałtowne i niepokojące. To życie, które pracuje po nocy i bez wytchnienia, jest jak galernik przykuty do jakiejś okropnej taczki, toczącej się w ciemnościach z głuchym łoskotem łańcucha.

Coś się przewala w otchłaniach, coś kłębi. Coś się dzieje poomacku, na ślepo. Coś potwornego, coś niesłychanego, coś, co nie śmiało powstać dniem, powstaje nocą. Jakiś gwałt rozpiera pierś morza. Pędzi je, zawraca, smaga, kołysze niem ode dna, goni na wysokościach jego i o brzegi ciska. Męka bez odpoczynku, praca bez wytchnienia...

A potem, taka noc ma całkiem osobny i sobie tylko właściwy patos. Jakieś głębokie westchnienia, jakieś szmery i szelesty, jakieś tragiczne szepty, jakieś bezprzytomne zanoszenia się od głosów łkających i nieukojonych.

Wszystko to bije w ciebie, otacza cię, napiera. Zrazu chcesz je zagłuszyć w sobie i zepchnąć z siebie. Czujesz, że są czemś obcem i zewnątrz ciebie stojącem. Przeciwstawiasz im istotę swoją, jej spokój, jej uciszenie. Ale wkrótce ogromny patos morza ogarnia cię, obezwładnia i nawskróś przenika. Podnoszą się, po-

wstają z dawnych i świeżych mogił życia wszystkie smutki twoje, wszystkie żałoby, i podając głosom tej nocy jakiś przeciągły, nieskończony odzew, idą ku morzu, wprost przez serce twoje, długim korowodem...

Aż wstąpią na szum i huk bezsennej fali, i zakryją oblicza swoje, i przestawszy być sobą zespolą się, zleją, zjednoczą z prastarym bólem świata. A wtedy tętna twoje uderzą w takt potężnie narzucającego ci się rytmu morza, pierś poruszać się zacznie pod miarę szerokich oddechów otchłani, a dusza twoja wejdzie do wielkiego chóru wszechjęku. Chórowi temu nie przygrywa wtórem ni niebo ni piekło. Cisza leży na gwiazdach, cisza światami przewiewa, a mroczne głębiny przepaści zalega odwieczne milczenie.

To jest chór »a capella«, bezsenny chór duchów.

Oto uderzył w powietrze jękiem i ustał, jakoby nasłuchując głosów użalenia. Ale odpowiedziała mu cichość...

I znów buchnął skargą pomieszanych głosów i znów ustał i czekał. I znów odpowiedziała mu cichość...

Wtedy rozegrał się sam w sobie i rozśpiewał jak wicher i jak burza.

Oto przeciągają wiekami głosy miljonowe, a jęk ludami idzie. Oto podają go czasy czasom, narody narodom, jako gorejącą pochodnię; od źródeł Eufratu, od prastarych przepaści bólu, podają sobie jęk, jako wielki, naczelny ton życia. Nikt głosów nie zestraja, nie łączy. Jedne pałają gwałtownie, inne wznoszą się błagające, inne ugasają i mdleją w najcichszych westchnieniach. Chór łączy się i rozdziela nie wiedząc o sobie. Każdy duch śpiewa ból swój, a nie wie, iż sam jest pieśnią. Czasem zerwie się głos lotny, głos prorocki, i jak wielki ptak obłąkany ślepo uderzy się o milczące gwiazdy — i spada. A za nim porywa się chór jęków, jako klucz żórawi, i nie doleciawszy pierwszych straży nocy — też spada.

Czasem krzyk, krzyk przenikliwy, ostry, jakby nie z piersi, lecz z rany śmiertelnej wyrzucony. Czasem szept pełen nieszczęścia i winy. Czasem szmer sypiącego się próchna po starowiecznych, mogilnych podziemiach. Czasem płacz, płacz rodzących się Duchów na znój, na bój, na ból...

Z przepaści do przepaści biją głosy nieukojone, łkające.

Wstaje fala, podnosi się z odmętów wieczystych w niewypowiedzianym wysiłku i w męce, Wstaje fala, pędzi, wzlata, rzuca się ku niebu, i z nabraną, pełną gorzkich pian piersią mdleje i spada, śpiewając pieśń własnej zatraty.

I szumi morze i huczy, i śpiewa wielki Chór Duchów, któremu nie wtórzy ni niebo, ni piekło.

...Do prawdy chcemy!

...Do sprawiedliwości chcemy!

...Do żywych źródeł chcemy!

...Do życia! Do życia!... Do życia!...

Wielki chór jęku a capella śpiewa.

Lecą głosy przestrzennym eterem, trąciły się o Lirę gwiezdną, targnęły siedmiostrun wszechdźwięku, wszechskargi i siedmkroć siedm otchłani starego bólu i starej rozpaczy świata zbudziły do ech długich, wyjących, przewlekłych... I popłynęły wielką Drogą Mleczną, i uczyniły ją gorzką, i zatrutą. I przewiały pióra Łabędzia na północnem niebie, i łunę krwi rzuciły na białość puchów jego.

Wielki chór a capella śpiewa.

Każdy duch zdeptany mówi swoje słowo, i każdy duch w polocie mówi swoje słowo, a Łazarz, który milczy, jest wysokim i najwyższym tonem.

I śpiewa chór a capella...

Lecą głosy poszarpane niewiast, i dzieci, i mężów, głosy pełne przeciwieństw, pełne dyssonansów, które zestraja ból...

Objęły glob, opasały ziemię dźwięczącym, jak łańcuch, pierścieniem. Stały się chórem globowym.

Wzbierają jedne, opadają drugie, wi-

brując przez całą skalę wszechjęku, od namiętnego krzyku, do ledwie słyszalnego, ostatniego tchnienia.

Jestże to modlitwa?

Jestże to klątwa?

Jestże to pieśń życia, czy pieśń śmierci?

Nikt nie słyszał jej początku i nikt nie usłyszy jej końca.

Gdy umilknie, nie będzie nieba i nie będzie ziemi.

Będzie tylko — śmierć.

XI

SZLENDAKI

... Pamiętam was, wirtuozy małe!

Na schyłku lata dzień gorący, modry. Słońce wysoko stoi, złote rzęsy mruży, w Wisłę iskry sypie. Całe snopy iskier sypie w Wisłę, płynącą spiesznie, spiesznie, a tak cicho, że się tylko drżeć zdaje, nie płynąć.

Nad Wisłą zabrzeg stromy, na nim budowy dziwne, zamczyste, o rogatych czołach: Kazimierzowe spichrze to chlebne, co jeszcze teraz złote ziarno sypią, złote ziarno złotego wspomnienia...

Niżej, poniżej, na całym stoku wzgórza berberysy kapią gronami korala i złotawego bursztynu. Dziko, krzaczysto zarasta wzgórze całe, ledwo gdzie pokazując podsypujący je żwir jasny i piasek.

Jędrna woń bije z tych gąszczów ciemnej zieleni, drżącej od furkotu i świstania tysiąca piór i głosów. Całe wzgórze ptaszym szczebiotem głośne.

Wyżej, powyżej, wieża stara stoi, wieża z Kazimierzowskiej poczerniałej cegły, z której wiek dawny dom sobie niegdyś murowany czynił, w ziemi polnej, od żywic modrzewiowych zrębów złotej, a snopami użątku nakrytej. Dom, o którym mniemał iż jest wieczny.

Na skraju wzgórza wieża stoi, harfa bezstrunna, milcząca, na której martwe palce kładzie bezdźwięcznie, wędrowny ślepiec — czas. Wprost wieży kawał starego zwietszałego muru; jakaś karta granitowej księgi, której dziś już nie odczyta nikt. Słońce złoci jej zgłoski i ognistemi je czyni; ale znaczenia ich zapomnieli ludzie. Oni myślą, że te zgłoski złote, to tylko rysy i szpary zwietszałego muru, z których się puszcza tarń i macierzanka.

I znów fala buchająca życiem zieleni, barw, liści, plątańców i łodyg, a za nią znów kawał umarłego muru: baszta, puste przedpiersie, w trawy zaryte, za którem nie bije żadne żywe serce.

W lewo, na osypisku żwirów błyszczących w słońcu, uczepiona z gruzów arkada, kamienna, pół owalna rama, w której wybłyska prosty, cały w tonach ametystu i szmaragdu mieniący się obraz: błękit nieba, zieleń pól, chat dymy liljowe, i modrość w skrach płynącej rzeki, ot, jak go wymalował Bóg.

Stary mur, starego wieku syn, okno tu sobie i wygląd na prawnucze życie uczynił. Stara Baśń w oknie siedzi, złote nici przędzie, i starym, drżącym głosem stare pieśnie śpiewa. Świerszcz, który tu gniazdo ma, gęśli jej do wtóru stroi.

A na lewo, na prawo, jak wzrok puścić wolno, sady... sady... sady... Ledwie z nich strzechy, ludzkich siedzib widne. Fiolety śliw, od niebieskawych, aż do pur-

purowych niemal, dają barwom ton główny, naczelny. Miesza się z tonem tym złotawa rumianość jabłoni, i świetna zieleń grusz, chcących do ziemi.

Woń dojrzewającego owocu topnie w powietrzu cichem i gorącem. Smołki drzewne pachną, a pszczoły padają na kwitnące grzędy bez brzęku prawie, ciężkie a złote, niby krople miodu.

...Pamiętąm was, wirtuozy małe!

Domek nizki pod wzgórzem stoi; gałęzie berberysu tysiącem rubinowych oczu do wnętrza mu przez drobne szybki patrzą, brzoza liść złoty na gonty mu trzęsie, całą kaskadą srebrnych kor swoich za niemi bijąca.

Gromada wróbli, które tu od zorzy do zorzy wiec krzykliwy mają, nie wie, czy jeszcze na gałęzi, czy już się na strzesze ściele.

Przed progiem domku, łuskwiny koralowych berberysów w błyszczącym do słońca piasku. Nad odźwierkiem drewniana

klatka z świstającym, niespokojnym kosem. Drzwi na ścieżaj otwarte, wskróś przez mroczne sienie, na równo wycięty kwadrat modrego światła, na buchającą z sadu woń rezedy i na przeloty nagłe, gnieżdżących się pod belką jaskółek.

Cała modrość powietrza przeszyta czarnemi piór strzałami; cała strzecha w błyskawicach kręgów, jakie zataczają nad nią...

Wprost domku, na cały obszar pustego rynku, zczerniała stoi ściana. Ogromny Krzysztof przez tynki jej, jak szerokie, kroczy, podpierając się sośniakiem w zielonych kiściach jeszcze, sośniakiem wyłamanym w takim boru, gdzie żywa moc rośnie, i żywa w moc — wiara.

Spełzły barwy lica i odzieży olbrzyma; światłości różanej dzieciątka, które niesie, także nie uchroniły wieki. Prawica tylko widna, z podporą swoją właśnie jakby zrosła, i barki szerokie, pod niewidzialnym ciężarem zgięte, i lędźwie

w ruchu, i ten krok ogromny, jakim się bierze przez topiel iść — wierząc.

...Pamiętam was, wirtuozy małe!

Pułap nizki, bielony; drobne okienko tonie w zieloności i kwieciu geranium. W ubogich ramach na ścianie bitwa jedna, druga. Stare, pożółkłe sztychy, dymiące z dział branych gołą ręką, gdzieś wprost z pod bagnetów...

Pod oknem fortepian dziwacznej struktury, lipową deską kryty, kozłami podparty. Wprost niego, pod sztychami skrzypce i altówka.

Na fortepianie, na lipowej desce czarny niedźwiadek na dwóch łapach stoi, nad bębnem zawieszonym u karku, pałeczki wzniesione trzyma... Na stole srebrzystej mietlicy i polnych dzwonków pęk, porzucony jak byle, rozsypany...

Przy fortepianie, przed klawiaturą bardzo wązką i bardzo pożółkłą, tak jak przybiegł wprost z pola, boso, bez spencerka, w szeroko odrzuconej u szyi ko-

szuli, siedzi na prostym zydlu chłopaczyna ogorzały, nizko postrzyżony, drobny, z całym światem pieśni w palących się złotawym blaskiem oczach.

Gra...

Gra i śpiewa razem.

Tyle klawiszy oniemiało w biednej starej klawiaturze, iż chłopiec dośpiewywać musi połowę melodyi niemal. Nie zraża go to wcale. Drobne, spalone słońcem rączęta uderzają, rozbiegają się, uderzają znowu z jakąś szaloną furyą, z jakąś dziwaczną, wprost niezrozumiałą w nich maestryą.

Jedna nożyna bosa naciska klapiący pedał, druga takt bije w podłogę. Chłopak nie ma więcej nad lat osiem, dziewięć; na zydlu ledwo przysiadł, jak ptak na gałęzi. Gra i nie słyszy, że go matka woła. Ogarnęła go całego ta melodya, którą przez pół z piersi dobywa, a przez pół z wązkiej, żółtej klawiatury.

Przy nim, na lewo, stoi młodszy. Ten ledwie że fortepianu głową sięga. Tak

samo słońcem spalony, tak samo w koszulinie i bosy, z najwyższem natężeniem ściga roziskrzonym wzrokiem chyże ręce brata, i wtór mu jednym palcem na basach daje. Jednym, jedynym palcem, ale co za wtór! Ani zmyli, ani wyprzedzi, ani się opóźni, tylko tu, to tam, z głębokim namysłem dźwięczny, wibrujący ton przyrzuci, cały skupiony w sobie, z wpółotwartemi usty, z rosą potu od wysilonej uwagi na szerokiem czole.

I grają tak Szlendaki małe, i płynie w echach piosnka stara, stara, którą śpiewywali ci, co te sady sadzili, co szczepili te jabłonie, te śliwy, i na te mury z poczerniałej cegły w zadumaniu obracali oczy...

Piosenka stara, której echa już się dawno wygasłe zdawały, a oto znowu żyją!

I grają tak Szlendaki małe, jak ich uczył ojciec organista, jak ich uczyły

szumy rzeki, i srebrzysty brzozy szmer, i kos, i stare pożółkłe sztychy, i skrzypce, i altówka, i wiatr polny, cichy. Kto wie, Baśń stara może...

...Pamiętam was, wirtuozy małe!

XII

MÓJ ZEGAREK

Nic i nigdy nie przedstawiło mi się w życiu pod aspektem tak doskonale niedościgłego ideału, jak ten mój zegarek.

Pamiętam tę chwilę tak żywo, że coś z jej drżenia dziś jeszcze wzrusza mi serce. Była poprostu przejmująca.

Ojciec powrócił z Paryża, po dość długiej niebytności w domu. Był jakiś inny. Strojny, lekki, wesoły, roztrzepany prawie, bródkę miał przyciętą w klin, gwizdał, podśpiewywał, wykręcał się na pięcie, klepał nas po ramieniu z miną koleżeńską i nader zabawnem mrugnięciem; na matkę wołał »Ma biche«, zamiast jak zazwyczaj: Basiu, poczem jednak zaraz uderzał się dłonią w usta i spuściwszy oczy, komicznie podkręcał wąsa. Wyda-

wał się też znacznie młodszy, szczuplejszy, przystępniejszy jakby.

Właściwie, ostatnie to spostrzeżenie uczynił nasz Medor, który odrazu, po trzaśnięciu w palce, jakiem go ojciec przywołał, poznał owe paryzkie przemiany, i natychmiast puściwszy się w szalony piruet, zaczął się kręcić do zawrotu głowy, poczem skoczył ojcu wprost na piersi, czego dawniej, z powodu pewnej, dość znacznej wyniosłości jego żołądka, nigdy uczynić nie zdołał.

Co do matki, ta w pierwszej chwili radości nie miała czasu na żadne spostrzeżenia, i raz tylko krzyknąwszy — »Józef!« — padła ojcu na szyję, poczem zawołała: Marysia, »befsztyk!« i zniknęła w kuchni.

Zaraz też uczynił się tam huk i trzask, jak w największe święto.

Jakoż, ten z wielu względów uroczysty wieczór, zakończył się podaniem niezmiernie czarnego i niezmiernie płaskiego

rozbratla, na który ojciec spojrzawszy, przez monokl przymrużonem okiem, skrzywił się nieco i zapytał czy niema sałaty.

Gremialny uśmiech przeleciał nam przez usta.

Ale matka wpatrzyła się w ojca z przerażeniem prawie.

— Sałaty? W grudniu — sałaty? Lecz cóżbyśmy, nieszczęśliwi, jadali w czerwcu i w lipcu, gdyby w grudniu miała być sałata?

Wtedy ojciec objaśnił nas pobłażliwie, że w Paryżu sałata jest zawsze.

Natychmiast uśmiech zniknął z ust naszych, a powieki opuściły się z pewnem zawstydzeniem i upokorzeniem. Tylko oczy matki stały się bardziej przerażone, zaczem poczuliśmy wszyscy coś, jakgdyby trzeszczenie w fundamentach rodzinnego życia.

Później dopiero, dostawszy kawałek owego rozbratla, przekonałem się, że to w nim trzeszczało.

Ojciec przecież dobrego humoru nie tracił, i dłubiąc piórkiem w zębach przyglądał się z pod oka rozczerwienionej i buchającej cebulą Marysi, poczem gwiżdżąc aryetkę, poszedł do swego podróżnego kufra. Naturalnie, rzuciliśmy się za nim wraz z Medorem; co do matki, ta przyzostała w jadalni, gdyż na talerzu ojca leżał bardzo jeszcze dobry kawałek mięsa i trzeba go było do kredensu schować.

Wtedy to właśnie, przy owym podróżnym kufrze, z którego ojciec zaczął wyrzucać mnóstwo jasnych rękawiczek, krawatów i pachnących piżmem chusteczek, miałem cudowną wizyę owego zegarka.

Kiedym go zobaczył, bujał się on wysoko przedemną, w dwóch palcach na cienkim łańcuszku przez ojca trzymany, tak, iż zdawał się własną czarodziejską mocą unosić w powietrzu.

Odrazu też objawił się oczom moim, jako krążek z nieba wycięty, błyszczący

najczystszym szafirem, i usiany nieprzeliczoną ilością gwiazd tak złotych, jakie tylko w najprzeźroczystszą noc sierpniową widzieć można. Stałem osłupiały, chłonąc rozszerzonemi źrenicami to prawie że nieziemskie zjawisko, gdy wtem zaczęło się ono zwolna zniżać ku mnie, a ojciec zawołał wesoło:

Trzymaj chłopcze! Masz zegarek!

Rzuciłem się, z bezprzytomnym krzykiem szalonej szczęśliwości wyciągając ręce...

Jeszczem wszakże zegarka dosięgnąć nie zdołał, gdy weszła matka, a spostrzegłszy na co się zanosi, spiesznie go odebrała ojcu.

— Nie! nie! — Do rąk nie!... Za nic w świecie! Taka kosztowna rzecz! Do ślubu nie miałam lepszego! Taki zegarek — dziecku!...

I natychmiast zgasiła wszystkie gwiazdy i cały szafir sierpniowej nocy w swej zamkniętej dłoni.

W tej samej chwili dusza we mnie zgasła.

...Nie dawać mi do rąk? Dlaczego? Boże miłosierny. Dlaczego nie dawać mi do rąk tego cudu i tego szczęścia? Czyż nie na to mam ręce, abym w nie szczęście moje mógł wziąć i trzymać mocno?

...Rozbić?... Jabym miał to rozbić? Czyż nie z taką samą słusznością powiedziećby można, iż rozbiję niebieski firmament?

Rozbić tyle czaru, tyle światła i tyle radości?

I oto oczy moje zaczęły wzbierać dwiema wielkiemi, ciężkiemi łzami, które mi wypełniły źrenice aż po same rzęsy. Przez łzy te, ojciec i matka stawali mi się coraz mniej widzialni, coraz mniej rzeczywiści i coraz srebrniejsi. Wreszcie zupełnie widzieć ich przestałem. Czułem tylko, że jakieś dwie przeciwne moce, o mglistych a potężnych kształtach ważą się nademną, zabijając i wskrzeszając kolejno me serce, i że ja, w małości i bezobronności mojej nie mogę przeciw temu nic, nic...

Wtem doszedł mnie stanowczy głos matki:

— Dobrze zresztą, niech się napatrzy! Położę zegarek tu, na fortepianie. O, tutaj!

Położyła.

— Ale do ręki nie waż się brać! Niech Bóg zachowa! Pamiętaj... Niech cię Pan Bóg broni! Rozumiesz?

Rozumiałem.

Dwie wielkie, ciężkie łzy, których miałem pełne oczy, spadły jak dwie twarde bryłki po moich rozpalonych policzkach. Dotąd czuję ich doskonałą zwartość i okrągłość.

Jestem też pewny, że upadłszy nie wsiąknęły w kostkową posadzkę naszego saloniku, lecz że się o nią rozbiły w pył tęczowy tak, jak owe kuleczki wydmuchane z weneckiego szkła w Murano, które za dotknięciem pękają z przedziwną dźwięcznością.

Zacząłem patrzeć.

Nie było to łatwo. Fortepian sięgał mi prawie że do brody. Zadarłem tedy głowę, brodę położyłem na mahoniowej dece i patrzyłem.

Zegarek leżał teraz w otwartem czarnem pudełku, które mi się wydało małą czarną trumną. Szafiry jego zmierzchły, gwiazdy ledwo tlały. Prawda, że w tym kącie pokoju było dosyć ciemno.

Blizki był, a jednak — o jakże daleki!

Daleki najpierw dlatego, że leżał na środku tortepianu, gdzie żadną miarą dostać go nie mogłem, a potem — że ...niech Bóg broni! I niech Bóg zachowa! Rozumiesz?

— O gorzkie rozumienie! O bezlitosny w swej słuszności zakazie niebiańskiego szczęścia! O niedoborze rozkoszy, której nie można za nic w świecie do rąk... O serca głodne u zastawionych stołów życia! O usta pragnące, do pełnych czasz przywarte, a nie napojone! O pierwsze

pożądanie schowane w czarnem, do trumny podobnem pudełku! O filozofio zaprzeczeń, która wydziedziczasz dusze z boskiego władania sobą! O ziemie obiecane, a nienawiedzone nigdy! O zwiastowania wiosenne majowych narodzin szczęścia, po których żadne słowo ciałem się nie staje!

O ręce zaciśnięte żądzą! O palce zdławione zakazem! O ramiona chwytające w próżni to, co nieuchwytne!

O nieprzebyte, z każdego punktu wszędzie i zawsze równo oddalone dale!

O niebijące nigdy godziny doczekania!

O srebrne sita serc czerpiących morze!

O ty wielkie wszystko życia, którego ...niech Bóg zachowa, i ...niech Pan Bóg broni!...

Lecz gdym tak stał, oparłszy brodę na fortepianowej dece i założywszy w tył ręce z palcami splątanemi w nieprawdopodobny węzeł, którego nawet najsilniejszą pokusą zjęty, odrazu rozplątać nie byłbym w możności, — zegarek zaczął

coś szeptać, coś mówić, coś śpiewać. Szept był zrazu niewyraźny, niewypowiedzialny. Istniał w nieuchwytności subtelnego szmeru, w czarodziejskiem rozedrganiu jakichś nieskończenie dalekich i nieskończenie blizkich punktów, z których jeden był w sercu zegarka, a zaś drugi w mojem. Był bosko niepojęty, niezrozumiały, olśniewający, i cudownie pozbawiony wszelkiego znaczenia. Obłok woni, pył czarokwitu, mżenie tęcz, przyciąganie nieprzemożone bólu i rozkoszy.

Acz nadzwyczajnie pośpieszny i cichy, miał w sobie szept ten precyzyę i czystość struny, trącanej od wieczności do wieczności niewidzialną mocą; a tak był kojący i słodki, iż cała gorycz, całe cierpkie natężenie duszy zwolniało we mnie, a serce moje zaczęło mu odszeptywać z najrzewniejszem, najbardziej ufnem oddaniem.

A wtedy szept ów, który był mniej niż mową, a więcej niż głosem, przerzucił się

nagle z nieskończonych oddaleń wprost do mojej piersi, i usłyszałem wyraźnie dwa nierozerwalnie złączone z sobą dźwięki Ja i ty... ja i ty... ja i ty...

Było to nieścignione okiem błyskanie i odbłyskiwanie dwu lekkich, modrych iskier, z których gdy się jedna zapalała, druga gasła, oddając tamtej swój żar i swój kolor. Było to czarodziejskie obdzielanie jednem życiem dwu odrębnych istnień, dokonywane z taką potęgą bezpośredności, iż żadne z istnień tych nie czuło się, — ani przez jedno mgnienie, — martwym i zgaszonym punktem.

Że się ten cud stawał w maleńkiem, tajemniczem »i« — nie wiedziałem wówczas. Wkrótce przecież, owo błyskawiczne zapalanie się i ugasanie dwu modrych iskier nabrało tak natężonej szybkości i siły, iż zajarzyło jako złota nieprzerwana smuga muzycznego tonu. Zaczem ton rozpadał się na dźwięki, i stała się nademną — pieśń. Była to niezawodnie

najcudniejsza pieśń, jaką kiedykolwiek ucho ludzkie słyszało.

Dźwięki jej rozkwitały z niezmierną świeżością uroszonych pąków, wprost z nieobjętych wzrokiem, przelewających się przez wręby widnokręgu pól radości życia i wiosennych czarów...

Jakieś bajeczne perspektywy księżycowych świateł, jakieś mżące rozpylonym seledynem dale, jakieś otchnione delikatnym różem srebrzyste tumany objęły mnie i zawarły w sobie tak, iż sam stałem się pieśnią i czułem, jak dźwięczę i śpiewam...

Nie znałem słowa, a i teraz nie znam, któremby nazwane być mogło to oczarowanie. Było ono jednak do tego stopnia silnem, iż potęgując zrazu rozkosz widzenia, wkrótce ją przemogło. Zamknąłem oczy, ręce mi się rozplotły, opadły, oddałem się cały tej fali, która mnie niosła i dźwięczała we mnie...

W tej samej wszakże chwili uczułem

szarpnięcie za ramię i usłyszałem głos matki:

— Cóż ty? Stojąc spisz? Rozbieraj się i do łóżka! Dziesiąta. Dość na dziś tego patrzenia!

Słowom tym towarzyszył przykry trzask, a kiedym otwarł oczy, wieko czarnego, podobnego do trumny pudełka było już zamknięte.

Odtąd widywałem mój zegarek tylko w dnie świąteczne. W powszednie czasu nie było. Nie to, żebym ja go nie miał, ale nie miała go matka, zwłaszcza, gdy odprawiwszy Marysię, która coraz silniej zaczynała pachnieć piżmem, podobnie jak owe paryzkie chusteczki ojca, sama gotowała obiad i smażyła rozbratle z cebulą.

Tutaj nadmienić muszę, iż sałaty ciągle jeszcze nie było, a trzeszczenie w fundamentach rodzinnego życia pojawiało się częściej, niż rozbratel, któremuby je z pewną słusznością przypisać było można.

Co do ojca, ten stale nosił bródkę w klin i podśpiewywał francuskie piosneczki. Na matkę jednak przestał wołać: »Ma biche«, a i nas nie klepał po ramieniu, mrugając okiem. Rzadko teraz bywał w domu. Ściśle rzeczy biorąc, od czasu jak przybył cyrk, w których uczone panny jeździły na uczonych koniach, nie widywaliśmy go wieczorami prawie. Okazało się bowiem, że jest nadzwyczajnym amatorem koni. A jeśli się i trafiło kiedy, że był w domu, zaraz go bolała głowa i spał na kanapie w ubraniu. Dopiero około północy bywało mu lepiej, i wtedy wychodził przez nasz pokój, żeby nie przeszkadzać matce.

Mnie wszakże to długie, całotygodniowe niewidywanie zegarka wprawiało w jakiś stan drażniącego oczekiwania, który był nieznośny.

Jeszcze poniedziałek, wtorek, środa nawet, dawały się jako tako przeżyć. Ale już czwartek był nie do wytrzymania.

Poprostu niepodobna mi było usiedzieć przy jakiemkolwiek zajęciu, gdym czuł, że zegarek jest tam, w tem czarnem pudełku, a ja go nie widzę.

Tedy dla ulżenia sobie zaczynałem krążyć około szafki, w której był schowany, albo stawałem przy niej, nasłuchując, czy nie doleci mnie jego szept mistyczny. Jakoż dolatywał.

Później dopiero, znacznie później dowiedziałem się, że to było drżenie mego serca. Zegarek bowiem nie nakręcany od niedzieli do niedzieli, leżał bez ruchu i głosu.

W niedzielę za to, jaka szalona i gorąca, chociaż krótka radość!

Dusza omdlewała we mnie, gdym słyszał suchy trzask otwierającego się pudełka. Poczem nagle zapalały się w ręku matki wszystkie gwiazdy z nieba i zakwitały wszystkie szafiry, a ja, bez tchu, patrzyłem z wyciągniętą szyją, mając pierś pełną cichej, gorącej jasności, podczas, gdy ta-

jemnicze dźwięki czarownej pieśni wybuchały w każdym moim pulsie.

Te wszakże stany ekstazy i następującego po nich wyczerpania, te natężone pragnienia i długie nie zaspokojone tęsknoty, źle wpływały na mnie.

Stałem się roztargniony, posępny, niecierpliwy i zamknięty w sobie.

Żyłem paroksyzmami szczęścia i oczekiwaniem na nie, co się fatalnie odbiło na mojej cenzurze.

Najgorszem jednak było to, że gdym cokolwiek zbroił, lub złe przyniósł stopnie, matka, zamiast mi dać po uszach, jak bywało dawniej, kiwała tylko głową i mówiła złowróżącym głosem:

— Oho, przepadło! Już zegarek nie twój!

Jaka mnie wtedy ogarniała rozpacz, jakie głębokie łkania wstrząsały moją wątłą piersią, jaki krzyk protestu miałem w duszy, ilem łez gorzkich i palących przelał!

Dopiero, kiedym kilka dni takich i nocy przebolał w niewypowiedzianej męce, — kiedym zmizerniał, stracił sen, apetyt, a kto ze znajomych zauważył, żem »jakiś marny«, wtedy dopiero matka mówiła:

— No, zegarek twój, ale pamiętaj!

Bóg widzi, jak pamiętać chciałem.

Mimo to jednak, co jakiś czas, zegarek przestawał być moim, a nim ta śmiertelna klątwa znów ze mnie zdjętą została, w łzach moich mógł się on był cały z łańcuszkiem razem zanurzyć.

Najdotkliwszem zaś w mej rozpaczy było to, żem go utracał, nie posiadłszy w pełni.

Ciągle bowiem jeszcze nie byłem starszy i ciągle nie mogłem do rąk dostać tak kosztownej rzeczy.

Życie moje chwiało się teraz między dwiema alternatywami, które się z dziwną punktualnością luzowały.

Zegarek był »mój«, lub też zegarek był »nie mój«. Tak szarpany między na-

dzieją odzyskania, a obawą utracenia szczęścia, budziłem się nieraz w nocy, nie wiedząc tak ze snu na razie, czy zegarek jest teraz mój, czy też nie mój? Spojrzenie moje było błędne, włosy zjeżone, zimny pot rosił mi czoło, a serce waliło jak młotem. Po dłuższej dopiero chwili oprzytomniawszy z przerażenia tego, przypominałem sobie, że zegarek jest teraz mój, a wtedy na mojej wynędzniałej twarzy pojawiał się błogi uśmiech szczęścia i opadałem na pościel z uczuciem bezgranicznego ukojenia, tak właśnie, jak rozbitek, który już zgubionym się widział, a oto jest uratowany.

Niekiedy, w czasie obiadu (a bywał on coraz i krótszy i gorszy) nagle, niosąc łyżkę do ust przypominałem sobie, że zegarek nie mój. Wtedy wargi zaczynały mi się trząść, łyżka w ręku drżała, i zanim ją do ust doniosłem, pełniejsza była o dwie słone i gorące krople.

Jakoś w tym czasie ojciec znów wy-

jechał. Kilka wieczorów przedtem bolała go głowa; w cyrku nawet nie bywał, gdyż uczone konie także wyjechały. Ale matka bardzo się tem gryzła i mocno płakała. Jakoż nie mogła ojcu na drogę ani upakować kufra, ani usmażyć rozbratla, gdyż ojciec, nie chcąc jej przeszkadzać, wyszedł przez nasz pokój sam w nocy na kolej, wziąwszy tylko swą podróżną torbę.

Przez jaki miesiąc potem, nawet dłużej może, zegarek był ciągle mój. Nie dlatego, żebym się lepiej sprawował lub uczył, ale matka tak była rozgniewana, i taka zmartwiona, że gdym przeskrobał, dostawałem odrazu na gorąco w kark, a o zegarku nie było zgoła mowy. Kipiałem tedy całą szczęśliwością niewypowiedzianą, czekając niecierpliwie niedzieli.

Aż przyszła taka jedna niedziela, że matka pudełka nie wyjęła z szafki.

Czekałem ranek cały — nic. Tedy po obiedzie, któregom przełknąć nie mógł

z niepokoju, podszedłem do matki i pocałowałem ją w rękę.

Siedziała nachmurzona podparłszy głowę. Pierwszy raz zauważyłem, jak bardzo postarzała i pożółkła w tych ostatnich czasach. Że zaś to postarzenie uczyniło twarz jej bardziej jeszcze twardą i surową, onieśmielony patrzyłem na nią w milczeniu, nie wiedząc jak zacząć.

Spostrzegła mnie sama.

— Czego stoisz? Zjadłeś obiad, to idź do książki i ucz się!

Zebrałem całą odwagę:

— A zegarek?... Dziś niedziela...

Matka odwróciła głowę i rzekła ostrym głosem:

— Niema zegarka. Zastawiony. Jak będą pieniądze, to go się wykupi.

Oniemiałem, ogłuchłem i patrzyłem przerażony w matkę:

— Nie... niema ze...? Piorun uderzył mi w duszę i zabił wszystko, co w niej było życiem i nadzieją.

Czerwone błyskawice latały mi w oczach, kreśląc jakimiś okropnymi zygzakami:

— Niema zegarka, zastawiony... Niema zegarka, zastawiony!

Dziś wiem, że tak właśnie wyglądały wyrazy: Mane, Tekel, Fares.

Tymczasem matka podniosła się z jakimś stłumionym jękiem i wyszła z pokoju.

Zostałem sam.

Natychmiast obudziła się we mnie przedsiębiorczość, instynkt ratowania się i odporna siła.

Jakoż tego dnia jeszcze powziąłem u stróża ważne wiadomości. Dowiedziałem się mianowicie, co znaczy zastawiony, a nadto gdzie jest i jak się zwie miejsce, w którem mój zegarek przebywa.

Nazajutrz poszedłem tam, zamiast iść do szkoły. Był to duży żółty dom w ustronnej ulicy. Ponieważ drzwi były uchylone, wsunąłem się i obracając czapkę w ręku, z bijącem mocno sercem stanąłem przy nich.

Pokój był prawie pusty. Jakiś pan spojrzał na mnie od biurka przy oknie i zapytał:

— A czego to?

Ukłoniłem się zmieszany niewymownie.

— Nic, proszę pana, tylko tu jest mój zegarek...

Pan wyciągnął rękę.

Kwit?

Nie miałem kwitu.

— Bez kwitu się nie wydaje.

Ukłoniłem się raz jeszcze i wyszedłem w sienie, a że nikogo tu nie było, przytuliłem się do drzwi i słuchałem.

Byłem pewny, tak jest, byłem zupełnie pewny, że przez te drzwi zamknięte przenika do mnie szept mego zegarka. Trząsłem się ze wzruszenia aż do szpiku kości, a łzy, jak grad leciały mi po twarzy.

We wtorek wracałem ze szkoły z ogromną pałą z łaciny, i z boską nadzieją w duszy, że znów ten drogi szept usły-

szę. Jakoż zaraz po obiedzie pobiegłem do biura i lekko nacisnąwszy klamkę znalazłem się we drzwiach.

Pan, który był w tej chwili przyszedł, poskładał papiery, obejrzał pod światło pióro, usiadł i wyciągnął rękę.

— Kwit!

Ognie buchnęły na mnie.

— Ja tylko, proszę pana, tak...

Lecz pan trzymał wyciągniętą rękę.

— Kwit! — powtórzył.

Nie miałem rzecz prosta kwitu.

Wtedy pan rozgniewał się i rzekł:

— Cóż u licha! Powiedziałem, że się bez kwitu nie wydaje fantów!

— Kiedy to nie fant, proszę pana, tylko mój zegarek...

Popatrzał na mnie z wspaniałą mieszaniną gniewu i pogardy, poczem trzasnął ręką w leżące przed nim papiery.

— Proszę mnie tu nie nachodzić! Nie przeszkadzać! Powiedzieć w domu, żeby kto starszy przyszedł z pieniędzmi i kwitem.

Ukłoniłem się i wyszedłem zawstydzony, z głębokiem wzruszeniem w duszy. I teraz bowiem byłem pewny, żem słyszał szept mojego zegarka.

Odtąd wszakże nie śmiałem wchodzić do biura, tylko stawałem w sieni. Nic wprawdzie stamtąd nie mogłem widzieć ani słyszeć, ale byłem blizko, w tym samym domu, gdzie zegarek.

Pewnego wszakże dnia podszedł do mnie stróż i rzekł:

— Tu nie wolno wystawać pode drzwiami! Jak interes, to wejść, a jak nie, to nie zastąpiać!

Cofnąłem się zmięszany. Nazajutrz siadłem na kamiennych schodkach, które prowadziły z ulicy do sieni i patrzyłem w okna. Twardo tu było i niewygodnie, ale przecież i tak bliżej zegarka niż w domu.

Czas szedł, i zrobiło się lato. I znów szedł i zrobiła się jesień.

Wietrzna była, zimna, słotna.

Zgorączkowany, wymizerowany, drżałem jak liść, siadując na owych schodkach w starym wytartym mundurku.

— Bój się Boga, chłopak, nie siedź na tych mokrych kamieniach, w takie zimnisko, bo się choroby nabawisz! — rzekł raz do mnie jeden z urzędników, wychodząc z biura.

Podniosłem na niego oczy.

— Kiedy tu jest mój zegarek, proszę pana!

Uśmiechnął się, pokiwał głową, westchnął, i poszedł dalej.

A mnie tęsknota trawiła tak, jak ciężka choroba. Uczyłem się jak najgorzej. Nieraz też od matki dostawałem po uszach, czegom prawie że nie czuł, pochłonięty jedną żądzą i jednem pragnieniem. Pieniędzy przecież ciągle jeszcze nie było i zegarek wykupiony być nie mógł.

Pod koniec grudnia wpadłem na myśl napisania listu do ojca. Jakoż natychmiast wydarłem ćwiartkę papieru z dy-

ktanda na czysto, i zalewając atrament gorącemi łzami — pisałem.

Kochany Ojcze! Donoszę kochanemu ojcu, że jestem bardzo nieszczęśliwy, bo zegarek mój jest zastawiony i wcale go niema. Kochany drogi ojcze, przyjedź prędko, gdyż jestem bardzo nieszczęśliwy i jest bardzo zimno. Całuję twoje ręce kochany ojcze i żebyś prędko powrócił. Wierny syn Stanisław.

Złożyłem teraz ćwiarkę we czworo, napisałem na czystej stronie: Do kochanego ojca, i pobiegłszy, mimo późnej pory, na pocztę, wrzuciłem w skrzynkę.

Nadzieja rychłego ratunku ożywiła mnie znacznie. Z gorączkową niecierpliwością wylatywałem naprzeciw listonosza po kilkakroć na dzień. Odpowiedzi jednak nie było. Czekałem tydzień, czekałem dwa, trzy — nic.

Wtedy pobiegłem znów do tego wielkiego żółtego domu. Miałem zamiar wejść śmiało i powiedzieć urzędnikowi, że oj-

ciec lada dzień wróci, że już nawet do niego pisałem, więc czyby mi tymczasem nie oddał zegarka?

Tam wszakże zastałem ścisk i gwar, który mnie ogłuszył. Nie było dla mnie miejsca ani w sieni, ani pode drzwiami, ani też na schodkach. Szturchano mnie, popychano, łajano, że lezę pod nogi. Wtedy zapytałem najbliżej stojącego pana, dlaczego tu dziś tak dużo ludzi i czemu tak krzyczą? Pan spojrzał na mnie z wysoka i nie odpowiedział.

Mnie wszakże ogarnął nagły i niewytłómaczony strach. W jednej chwili postanowiłem bądź co bądź dostać się do wnętrza.

Jakoż nurkując pomiędzy ściskiem chałatów, surdutów i spódnic, dotarłem do wolniejszego miejsca, tam, gdzie balaski przegradzały salę. Tu podniosłem głowę. Olśnąłem...

Wysoko nademną, w dwóch palcach na cienkim łańcuszku trzymany, unosił się

mój zegarek w powietrzu, jakgdyby czarodziejską mocą.

Przeczysty lazur jego wypełniał cały pokój, a złote gwiazdy, jakie tylko w najcudniejszą i najbardziej przejrzystą noc sierpniową widzieć można, jaśniały na ścianach, na suficie, wszędzie...

W tej samej chwili mistyczna pieśń zalała mu duszę, świat cały...

— Zegarek!... Mój zegarek! — krzyknąłem z wybuchem szalonej, bezprzytomnej szczęśliwości wyciągając ręce.

Jeszczem go wszakże dosięgnąć nie zdołał, kiedy gruby jakiś głos rzekł:

...I-po-trze-cie!

Wtedy stojący przy mnie pan zdjął z powietrza wszystkie gwiazdy i lazury, a włożywszy mój zegarek w czarne, do trumny podobne pudełko, wpuścił je do głębokiej kieszeni chałata.

...O ziemie obiecane, a nienawiedzone nigdy!...

...O srebrne sita serc, czerpiących morze!...

XIII

HANYSEK

Typem rozwijającym się najwcześniej z górniczych typów w Dąbrowie jest Synek, albo Hanysek.

Hanysek miewa od siedmiu do czternastu lat; ścisłej wszakże kontroli wieku jego nikt nie prowadzi.

Zkądżeby? Na pięciu Hanysków, co! na dziesięciu nawet, zaledwo jeden ma autentycznego ojca i autentyczną matkę, a co za tem idzie — autentyczną metrykę. Reszta wywodzi się z kopalni, jak pisklaki z gniazda, i dość.

Jużci i Hanysek ma jakiś ród swój i początek, ale nie dochodzi tego. Czuje za to mocno przynależność swoją do kopalni. Jest z Redenu, jest z Paryża, jest z Koszelewa, bywał z Cieszkowskiej, póki jej nie zalała woda.

I kopalnia poczuwa się do niego, uznaje go w obrębie swoim i na zmianę z Hanyskiem, nazywa go »Synek«. Że taki berbeć ma tam prócz tego jakieś inne imię, a czasem nawet i nazwisko, co to obchodzi kogo? Może być sobie Jaśkiem, Staśkiem, Wickiem, Antkiem — prywatnie; ale w publicznem w swojem życiu, to jest na terenie kopalni, z której się wywodzi, jest zawsze Hanyskiem.

Hanysek, to nietylko nazwa. To także urząd i uobywatelenie chłopca. To jego stanowisko polityczno-prawne. To przyznanie go za swego, gremjalne wprawdzie i, zwyczajowe niewielkie, które przecież w obrębie kopalni ma wigor nie gorszy wcale od notarjalnego. Przyznanie owo niewiele zapewnia przyznanemu zysków i korzyści. Właściwie tyczy się jego honoru, ale nie jego strawy i nie jego koszuli na grzbiecie. Stąd Hanysek jest zazwyczaj przeraźliwie chudy i równie przeraźliwie brudny. Jest to nawet rzecz całkiem wątpliwa czy bywa syty kiedy. Ot, trochę

marnych rachitycznych kości w umorusanej skórze, zapadły srodze żywot, konopiasta grzywa, śmiejące się oczy, zawsze głodne zęby, długie, cienkie jak piszczele nogi, ręce jak ta święta ziemia i fantazja od stu djasków, — taki jest Hanysek.

Hanysków jest na każdej kopalni pełno. Przed biurem, na odkrywkach, na drodze, na powierzchni, wszędzie jak wróble kręcą się, do usług gotowi.

Bo Hanysek jest pracowity na swój sposób; i owszem, bezczynności prawie że nie znosi. Ręce jego rzadko wprawdzie bywają zatrudnione, ale nogi w ciągłym są ruchu. Hanysek jest komisjonerem, telegrafem i telefonem kopalni. Posługuje się nim każdy kto chce, i każdy się uważa za jego prawowitą zwierzchność. Do głowy wprost nie przychodzi nikomu, że chłopak mógłby nie posłuchać rozkazu. Hanysek tu, Hanysek tam, Hanysek po oliwę, po piwo, po chleb, po kiełbasę.

Ta ciągła bieganina właśnie utrzymuje

go w tej chartowatości, którą się od innych chłopców wiejskich i miejskich charakterystycznie odróżnia.

Z duchowych jego przymiotów wyrabia się w nim przedewszystkiem spryt, karność w obrębie swojej kopalni i niezależność po za nią. Rozwija się w nim także bardzo wcześnie duma. Hanysek bowiem, jak tylko nosa ucierać się nauczy, uważa się za oficjalistę kopalni, i mówi o niej: my, u nas. Sztygarów, a i naczelnego inżyniera nazywa »stary« jak to u szleperów słyszy.

Że ideałem Hanyska są niedopałki cygar, papierosów, o tem i mówić nie trzeba; znaczną też część jego zarobków pochłania tytoń, od jakiegoś dziesiątego roku życia włącznie. Że wszakże, nim palić zacznie, rujnuje się na chleb świętojański, nigdy przeto nie wychodzi ze stanu utracjuszowstwa, a i zadłużony też nierzadko bywa.

Nie przeszkadza mu to wcale rozwalić

się do góry brzuchem na pierwszej lepszej transzy i drzeć się na całe gardło:

Oj niemasz to, niemasz,
Jak naszym górnikom,
Pieniądze nam płyną,
Jako woda rzykom!...

Hanyski nie stanowią luźnych gromad, ale tworzą ściśle zorganizowaną korporację, która się dzieli na przyjazne albo nieprzyjazne grupy. Hanysek z Mortimera ma się za coś niezmiernie wyższego od Hanysków z Redenu, których szwedzkiemi zapałkami zowie, ile że kompanja szwedzka kopalnie te posiada. A kiedy Cieszkowską woda zalała, Hanyski tamtejsze były w tak powszechnej wzgardzie, jako niedołęgi, które na coś podobnego pozwolić mogły, że musiały wysługiwać się przez resztę hanyskowania kolegom, jakoś mniej licznym wtedy, gdyż ospa dużo szleperek zabrała, i zupełnie podupadli na honorze.

Starsze Hanyski nietylko za posyłkami latają. Smarują też na powierzchni maszyny, czyszczą ich drobniejsze części

Leonard Brokl Kijów

składowe, pasy, rzemienie, pucują krany, skutkiem czego miał węglowy, zmieszany z tłuszczem, nazawsze do nich przywiera i staje się jeszcze jedną skórą na ich ciele.

Śmiertelność wśród Hanysków bywa zwykle znaczna. Z wiosną zwłaszcza. Pod lada szopą, pod lada pryzmą węgla, pod lada transzą gliny widzieć wtedy można trzęsionego przez febrę Hanyska, po której, opuchły, kwęka jeszcze przez lato, a na jesień, jak mucha zamiera.

Marzeniem chorego na śmierć Hanyska jest, żeby mu na pogrzebie grała muzyka górnicza. Ale jest to marzenie zgoła niedościgłe. Muzyka bowiem górnicza temu tylko za trumną gra, kto w kopalni z przypadku ginie, nie zaś swoją śmiercią umrze.

Ale podobno raz, Hanysek jeden po arak posłany, przykucnął między szleperami i zjeżdżał chyłkiem na Łabęckiej, kiedy się winda urwała.

Temu grali, bo go na dziewiątego do-

rzucili przy pochowie ośmiu dużych trumien.

Ale to dawno.

Paradują wprawdzie do dziś dnia tem graniem ci z »Łabęckiej«, wypominając je przy każdej zwadzie, z Paryżakami zwłaszcza. Ale taki Paryżak tylko ręką machnie. Bo cóż, że się tam raz kiedyś zdarzyło!

Gdy jednak Hanysek tężej zaweźmie się na życie, a jeszcze i ospę przetrzyma, wtedy sobie ze świata kpi i hanyskuje aż do lat czternastu. Zaczem znika z powierzchni ziemi i zwolna przemienia się w szlepera.

Leonard Brakl Kij 6 w.
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Suwałkach
14912

SPIS RZECZY.

I. NA NORMANDZKIM BRZEGU.

Str

I. »Madame la Vierge« 1
II. W osadzie 11
III. Na węgorki 23
IV. Przy drzwiach otwartych 39
V. Do ziemi 51
VI. Morze odeszło 73
VII. Barki wracają 87
VIII. Na wybrzeżu 107
IX. O zmierzchu 125
X. »A capella« 149

II. CI MALI.

XI. Szlendaki 155
XII. Mój zegarek 167
XIII. Hanysek 197
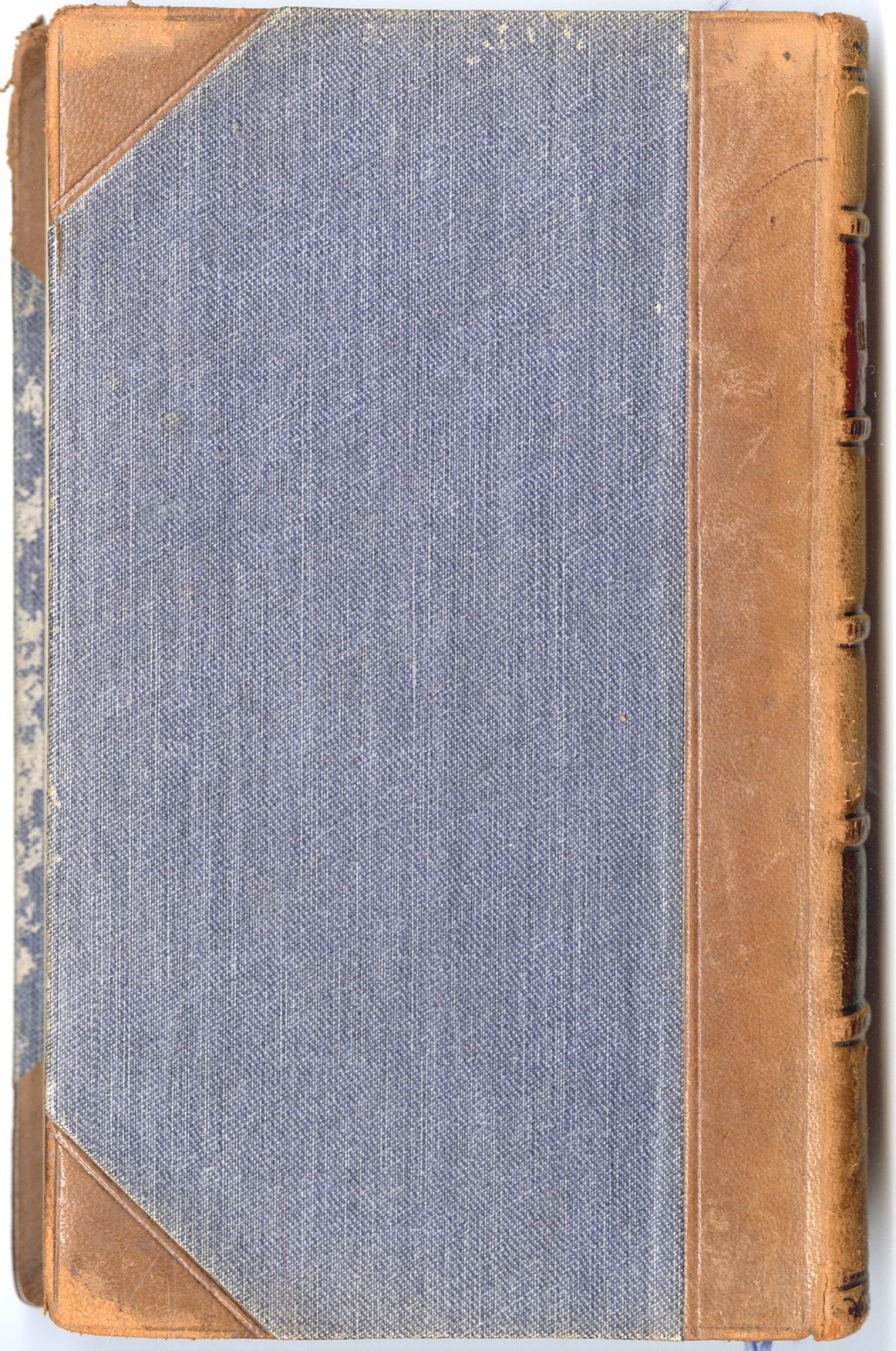
500/-
41/1269/41/82